

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1186. Cnotę spotwornić w namiętność i los złowrogi [hasło konkursowe] W niewoli idei. Dramat w 5 aktach [przesłany na konkurs dramatyczny Wydziału Krajowego we Lwowie].

STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

Львівська бібліотека АН УРСР
ВІДДІЛ РУКОПИСІВ
№ *Бав. 1186*

19.

Lw. 111473/03

Konkurs Dramat
22 1903

G O D Ł O : " Powstańcie ! idzie człowiek silny " .

Opis spotwarń w namietności
i los starości

Dep I
Lw. 14195/04

2 marki po 16 Kop.
dotacjonowo
Kune

W NIEWOLI IDEI

Dramat w 5 aktach (akt 5-ty w 2- odsłonach)



V 259
1.186

O S O B Y .

Luborzecki - podupadły obywatel,

Luborzecka - jego żona,

Wacław ich synowie

Henryk

Skarżyński,

Aniela - jego wnuczka,

Rostowski,

Rostowska - jego żona

Eulalia - ich córka

Gerard Gagatnicki (vel Gogus)

Professor

Świadek

Studenci - Goście - lokaje,

Tłum robotników.

A K T I .

Ogród Skarzyńskiego, przy domku wiejskim, krytym słomianą strzechą, o ganku wspartym na dwóch słupach oplecionych winogradem. Domek otoczony ^{wzrost} różkożystemi lipami, stoi zwrócony do sceny bokiem, na dachu bocian. Na prawo, na pierwszym planie, brzoza, pod nią ławeczka. W okóło na grządkach malwy, maki, słoneczniki, wśród nich kilka uli. Sad owocowy - jabłonie w kwieciu, wiśnie, -okolony płotem; opodal gołębnik, studnia z żórawiem. W głębi rozciąga się widok na wioskę.

S c e n a I.

Skarzyński - Henryk.

Na przyźbie siedzi Skarzyński, pogodny, siwowłosy starzec, na ramionach gołębie, w powietrzu biała chmura ptactwa.

Skarzyński. Ptaszyny moje! wy na skrzydłach białych przelatujecie nad ziemią, rzeźwe, wolne; bujacie w przestworzu, wzbijacie się w obłoki. Wy nie orzecie gleby w ciężkim znój, nie znacie piekła nienawiści, rozterek myśli i czynu, nie dręczycie się zagadnieniami bytu. Za was stanowi instykt, przedwieczna mądrość Stwórcy, - żyjecie spokojnie, w swobodzie, szczęśliwie, rozmawiając miłosnym gruchaniem. Byt wasz wytworem wyższego rzędu zjawisk, niż nasz ludzki, skrępowany ciężarem materii.

Wchodzi Henryk.

Henryk. Pan widzę oddaje się tu sielskim rozkoszom; a my w tem piekle gorączkowego ruchu, wśród zgrzytu maszyn i gonitwy przyspieszonej za groszem, krzątamy się.

Skarzyński. Po tom od was uciekł.

Henryk. Aby zakopać się w ciszy wiejskiej! (zdejmuje kapelusz, chłódząc się nim) Seryo! dla człowieka z Europejską kulturą, jak pan, czyn heroiczny odsunąć się od tętna cywilizacyjnego ruchu, ażeby zamknąć się w głąsży.

Skarzyński. Zwiedziłem wszystkie zakątki Europy w poszukiwaniach spokoju, - ba! szukałem zapomnienia za oceanem; aż w końcu, znękany, stary, powróciłem tu, do głąsży, do starych wspomnień. Mam tu ciszę, kontemplację przyrody, widoki swojskie i . . . wnuczkę.

Henryk. (chmurniejąc) Prawda! Aniela jedna wystarczy, aby życie ci-

szą wypełnić.

Skarzyński. Przekonałem się, że tu najłatwiej można być szczęśliwym.

Henryk. Ach! szczęście! mara której wszyscy szukają, a której, chcąc być silnym, z góry wyrzec się trzeba.

Skarzyński. Czemże tą marę w życiu zastąpić?

Henryk. Szerszymi celami. - Jeśli dbać o szczęście - to dla milionów.
(opuszcza głowę w ręce - po chwili, z wybuchem.)

Kiedy patrzę na cierpienie mas ~~substancji~~, na to wijące się w ukropie bólu robactwo ludzkie, takie przerażone, takie bezładne; kiedy czytam w mętnych źrenicach tępe poddanie się torturom życia, słyszę bezustanny huk maszyn, które z nich duszę wysysają; widzę te twarze nędzne, ogłupiałe, znękanе: gotów jestem do przekroczenia wszelkich tradycyjnych murów, aby dostać się prędzej do tych... palących się na powolnym ogniu.

Skarzyński. Słuchaj, Henryku! Mam przyjaźń do twoich rodziców, jeszcze z czasów gdy was na świecie nie było. Później wy obaj, prawieście pod moim okiem się chowali. Otóż umiem zajrzeć w twą duszę. Ciebie więcej jeszcze od współczucia pożera . . . ambicya!

Ty chcesz być dobroczyńcą tłumów, bo ciebie pali chęć wyniesienia się nadeń, ujęcia steru ich namiętności, owładnięcia prądem ich dążeń. Chcesz być bożyszczem tłumowi - aby usłyszeć okrzyki "Wielki! wielki!" W twej litości jest duża żądza wyniesienia się i władzy.

Henryk. Władzy nad nimi - aby ich uszczęśliwić.

Skarzyński. Władzy - dla samej rozkoszy wyższości.

Henryk. niecierpliwie A choćby tak? jeśli działalność pożyteczna, nie szarpmy jej na kawałki, aby wyciągnąć włókienka pobudek. Taka analiza ^{niewskazy} ~~rabuje~~ tylko zdolność czynu.

Skarzyński. Taka analiza - oczyszcza go tylko, z mniej szlachetnych pierwiastków.

Henryk. Aż odrzuciwszy wszelkie pierwiastki ziemskie, które działają wybuchowo jak motor, pozbawimy go żywej inicjatywy, wznosząc się do wyżyn... nicości! Wówczas otoczyć się chyba nimbem wieczności, i trwać w bezczynnej kontemplacji życia, jako lunatyk we śnie, jak fakir indyjski, jak .. Wacław.

Skarzyński. Wacław goni sny o wieczności. On jest lunatykiem ideału.

Henryk. A ja ^{zadam} porządku potęgi!

Skarzyński. To także twój sen.

Henryk. (z błyskawicą w oczach) * Czy sądzisz że jej nie zdobędę?

Skarzyński. Owszem, zdobędziesz - aby przekonać się o jej marności.

Henryk. (niecierpliwie) - Wolę przestać bawić się w te subtelności filozoficzne, bo przy nich ztraca się energia i gotowość do walki. Wiem, że chcę osiągnąć! tak być powinno! i tak się stanie!

Skarzyński. Ha! więc niech się tak stanie...

(Henryk chodzi niecierpliwie, Skarzyński skłoniwszy głowę na ręce patrzy nań badawczo)

Skarzyński. A nie miałeś ty innych snów?... o szczęściu rodzinnem?..

Henryk. Ha - ha - ha! szczęście rodzinne! W języku ludzkim byt zwierzęcy, niski, nikczemny, hańbiący byt; - nazywa się szczęściem rodzinnem. To zarabianie, zarabianie - i zarabianie! na mamki, niańki, guwernantki, na bony, buciki, ubranie, na mleko dla dziecka. Znosić obelgi i upokorzenia od wyższych, czołgać się dla zdobycia zabezpieczonego jutra, godność swoją ztracać! Wiek cały patrzeć spokojnie i obojętnie na cierpienia mas, pielęgnować w sobie nieczułość, jako najwyższą cnotę rodzinną! Głuszyć współczucie, tłumić wszelkie porywy - i to wszystko przez poszanowanie obowiązku! - Nie! - nie, stanowczo nie!

(Zamyśla się) A jednak, przyznam ci się stary nauczycielu, - o czym zresztą, wiesz może -; że mam jedną dziewczynę tu ... w sercu ... Ale - boję się! szczęście obezwładnia (milczy chwilę pogrążony w sobie, potem śmiejąc się z przymusem) - Stanowczo! nie chcę okryć się hańbą szczęścia. Wolę orężem nieszczęścia zdobyć potęgę.

Skarzyński. Zdobyc Królestwo chwały, gdziebyś był władcą.

Henryk. (niecierpliwie) Władcą otchłani - by dostać się na dno nędzy. Silny jestem, pomóż im potrafię, powinienem zdobyć tylko piędź gruntu realnego, dla oparcia stopy. Bez tego jam marzyciel, fantasta.

(milczenie)

Skarzyński. Więc cóż postanawiasz?

Henryk. A więc - muszę wybrnąć ożemprędzej z tego kłębiącego się wiru drobiazgów, gdzie siły marnują się bezużytecznie. Mnie potrzeba poprostu drabiny wiodącej na wyższe szczeble władzy. Chcę dostać się wysoko, na szczyty, - bo najwspanialsze myśli, najrealniejsze plany, bez odpowiednich materialnych środków, są arkanem przelatującym nad ~~wozem~~ ^{Nadziem} życia, popchnąć go z miejsca niezdolnym.

Skarzyński. Nie rozumiesz tylko tej prostej prawdy, że aby pracować na niwie społecznej, nie trzeba bezwzględnie traktować siebie. Koń nie karmiony nie udźwignie zaprzęgu, nawet maszyna potrzebuje oliwy. Trzeba zostawić sobie chociaż zdźbło uczuć osobistych, aby mózg żył - bo bieda! jeśli wspiąwszy się na wysokość - później się z żalu zachwiejesz!

Henryk. Zrzedzisz stary! Miłość kobiety może być tylko kulą u nogi. Ja muszę iść naprzód - zdobywać, walczyć! I gdyby własne serce zastąpiło mi drogę, pogardzałbym sobą, gdybym go nie potrafił zgnieść!

Skarzyński. Rozumiem to, Sam niegdyś kochałem ... bardzo ... (targa wąs) i od tej miłości uciekłem! Umiąłem się wyrzec nawet nadziei ... Tam jednak był obowiązek, realny, - nie mara fantazyi.

Henryk. Stary romantyku! co wyższych obowiązków nie dostrzegasz, nad gruchanie w gnieździe kochających się par. Tyś dbał o kobietę - ja o tkumy,

(milczenie)

Tak! wszystkie siły naprężyć do walki! wszystkie inne uczucia zniweczyć! Jak Attyla, pod kopytami pochodu, pozostawić tylko popioły! - Do celu!

Skarzyński. Takie jarzmo despotycznej doktryny - to też niewola!

Henryk. Nawet niewola, hańba, podłość, - mogą być w silnej dłoni szczerbłem i narzędziem.

Skarzyński. Więc stanowczo, - wyrzekasz się bytu indywidualnego?

Henryk. Wolę być uosobieniem mas - Bohaterem!

Skarzyński. Sławnym!

Henryk. Basta! Pocośmy tak minorowo się nastroili? A nie mówiłem że zbytnie rozpamiętywanie niszczy energię?

(Skarzyński słucha z głową pochyloną)

Henryk. Cierpienie też może być motorem. Kto siły wielkie ma do odczucia cierpienia, może je użyć do wzniesienia się: one skrwawione, smagane, popchną go na wyżyny. Excelsior! chociażby po trupie własnego szczęścia!

Skarzyński. (patrzac nań głęboko, poważnie) Bywa, że serce zabite, się mści. (odchodzi)

(Z dworku rozlega się pieśń:

Hej! poleciał sokół siny

W bujne stepy Ukrainy

Hej poleciał! i nie wróci ...)

Henryk. (powstaje z głową ukrytą w dłoniach) Tak blisko! tak blisko

być szczęścia! czuć cały jego czar ... przykładać już usta do źródła! i oderwać! .. nie ugasiwszy pragnienia

S c e n a II.

Henryk - Aniela.

Aniela. (wychodzi z dworku, chwilę stoi w ganku z dłonią nad oczyma, spoglądając na okolice - dostrzega Henryka - i z oczyma błyszczącymi radością; zbliża się doń) Przyszedłeś wreszcie! Ach, jakżem rada! tak długo... długo... wyglądałam cię Henryku.

Henryk. Nie mogę wyrwać się z tego kieratu fabrycznego; pochłania mnie cały wir zagadnień, spraw

Aniela. Wiem! - pracujesz. A jednakże ... Całe wieczory czekam tu w ogrodzie - patrzę - słucham - Niebo oblewa się zarzewiem zachodu - w liściach wiatr szumi - pod kołem młyńskim woda pluska i bełkocze - ptak nocny łopocze ^{tu} skrzydłami - Nasłuchuję - tylko szelestu twoich kroków nie słyszę Henryku.

(Henryk staje i patrzy na nią, jakby w rozprzewnieniu, - poczem znów zaczyna niecierpliwie chodzić)

Aniela. (cicho, z gorącą, miękką skargą) Noc idzie - i gwiazdy tak smutno - tęskno patrzą z pustego nieba - A później dzień wlecze się tak długo... długo... bezbarwny i szary, choć w blaskach słońca. Tak ciężko czekać... ciągle czekać... czekać napróżno!...

Henryk. (zatrzymując się przed nią, niecierpliwie) - po co czekać? czego?

Aniela. (gorąco, rzewnie) Słońca! szczęścia! twojego przybycia -

Henryk. Co za sentymentalizm - eech! (po chwili) Słuchaj, Anielo, nie przeczę, że miałem chwilę uniesienia ... ale wyrzuciłbym sobie, gdybym ci szczerze nie odkrył oczu. Trzeba raz temu położyć koniec.

Aniela. Koniec?!

Henryk. Tej sielance. Nie mogę całe życie chodzić w sentymentalnej obroży i śpiewać czułych arii. Realne życie ma swoje prawa i swoje obowiązki. W obec tej krwawej łuny pożaru, gdzie płoną miliony, ja nie mogę gruchać jak gołąb o rodzinnym szczęściu - (Urywa - po chwili, głosem zdławionym) O szczęściu... nawet z tobą... Mysł moja ma inne szlaki przed sobą

Aniela. Dawniej miałeś ją tylko dla mnie .. Henryku!

Henryk. (cierpko) Dawniej! dawniej! Wam bo kobietom się zdaje, że jeśli kto jedną chwilę da się pociągnąć marzeniu, to już na wieki skazany.

Aniela. (cicho, drżącymi usty.) ? Skazany!?

Henryk. (szorstko) Zresztą, nie mówmy już o tem. Sen był piękny.

Pryśł. Teraz woła i gniecie rzeczywistość.

Aniela. (zdławionym szeptem) Dlaczego mówiłeś mi ... że moja miłość jest ci do życia niezbędną, że w niej twój spokój duchowy, harmonijny rozwój sił; twoje pogodzenie się z bytem,

Henryk. (cierpko) Ach - wyrzuty! - mówiłem, com w owej chwili czuł.

Aniela. (cicho siląc się na spokój) Powiedz mi szczerze ... ja wszystko ... wszystko zrozumieć ... wszystko przebaczyć ... ty ... mnie nie kochasz?

Henryk. Kochałem, może ... Dzisiaj wiem tylko, że nie mogę całego życia zawrzeć w miłości kobiety; skuć wszelkie szersze dążenia, siły związane, bezwładne, wrzucić do ciasnej zatechłej piwniczki trosk i cnót rodzinnych, aby z za fasek kapusty, rozkoszować się widokiem łokcia przestrzeni i szmatku nieba.

Aniela. (gorąco) Czyż sądzisz, ^{że} jabym była przeszkodą w twych dążeniach?

Henryk. (z piekącą ironią) Ha! Ha! te miękkie rączęta radeby sokoła trzymać na uwięzi, przytwierdzając ^{onogo} na łańcuszku; czasami pozwolić mu pobujać, z nadzieją że znów musi powrócić na łańcuch, do ręki, z kapturem naciśniętym na oczy! - (śmieje się)

Aniela. Całym mojem pragnieniem byłoby ... całym szczęściem ... otoczyć cię taką miłością, byś czuł się zadowolonym z życia ... spokojnym ... dostojnym.

Henryk. (z szorstką wyższością) Wyście wszystkie jednakie! przypuszczacie że mężczyzna powinien wszelkie dążenia - myśl - chęci, utopić w ramionach kobiety. To sen odrętwienia dla słabych; - dla silnych chwila! A ja chcę całą pierśią rozwijać się - działać - żyć!

Aniela. (drżącymi usty) Tak! wy wielcy! silni! Miłość to dla was tylko przemijający sen, co ulatuje przed wołaniem trzeźwej rzeczywistości. A dla kobiety ... ów sen stanowi wszystko, zespala wszelkie jej zadania; to ... życie całe! I cóż więc mają poza te, którym ta chwila waszego ... złudzenia, pochłonęła życie?

Henryk. (lekceważąco) Mogą przecież zająć się czemś realnem - nie ca-

ły wiek spędzać w skrzydlatych urojeniach! Zresztą takie tkliwe gołębicę, mają zawsze przed sobą ucieczkę. Mogą wyjść za mąż.

Aniela. Za mąż?

Henryk. (nie dbale) Znajdzie się zawsze w pobliżu ktoś, do zgodzi się całą duszę utopić w rodzinnym kojcu.

Aniela. (z nagłym błyskiem w oku) Więc ty mi to radzisz? ty!

Henryk. (z lekceważeniem) ^(n. s.) Właśnie idzie amator.

S c e n a III.

Henryk - Aniela - Wacław.

Wchodzi Wacław - (Wysoki szczupły wąły blondyn, twarz ściągła, długa jasna broda, ubranie nie dbale. Zdejmuje kapelusz i staje oparty o drzewo, jakby pół-senny.)

Henryk. (siłac się na wesołość) Cóż cię tu sprowadza, marzycielu!

Wacław. (głosem obojętnym) Jestem tylko gońcem rodziców, którzy spieszą, złożyć powinszowanie imienin panu Skarzyńskiemu.

Henryk. Ach prawda. Imieniny! i kto mi o nich przypomniał, taki fantasta bujający po nad względzikami realnymi.

Wacław. (z nawpół przymkniętymi oczyma) Wali tam jeszcze karooca z państwem Rostowskim. Grubiaństwo - pretensye - fumy. Kupa złota w gnaju. Stary pułap wstrząśnie się na widok takich splendorów i gotów się jeszcze obruszyć.

S c e n a IV.

Ciż - Rostowscy - Skarzyński - Eulalia.

(Wchodzi Rostowscy. Skarzyński, Henryk ^{wi} zostają się Wacław zdaleka nie dbale się kłania.)

Rostowska. (bardzo wystrojona, obficie ubrylantowana, usiłowania wielkiego tonu, tępo majestatyczne, głos trochę ochrypły) A-Och! pan Henryk! dawno już nie widziałam pana Henryka.

Henryk. Wciąż zbieram się złożyć uszanowanie, ale ... zajęcia ... brak czasu ...

Rostowska. To źle! Nawet na naszych reunionach pan Henryk nie bywa, chociaż pochlebiam sobie, najwyższy kwiat arystokracji nie mija moich reunionów.

Henryk. Na przyszłość postaram się ...

Rostowska. Na ostatnim był Hrabia Zizicki, książę Pókotyłko, baron Schwindel. - Sterlety sprowadzone z Dunaju, jarzabki z Finlandyi, kwiaty z Nizzy.

Henryk. Mocno żałuję, że nie widziałem tych wszystkich cudów.

Rostowska. Takie piękne kwiaty - o - och! pan Henryk widać kwiatów nie lubi?

Henryk. Bardzo lubię, szanowna pani. Zresztą, zostawiam to upodobanie paniątkom.

Eulalia. (Suknia skromna angielska, figura płaska, żółte włosy, oczy skośne, chuda, skromna i zła.- głos suchy i bezdzwięczny.)

Cicho, dramatycznie, i z przyciskiem.) Ha, ha! paniątko! Więceśmy jeszcze nie wyzwoliły się z tego fałszywego sentymentalizmu, który nam każe uwielbiać kwiatki i ptaszki! Więceśmy nie dorosły jeszcze do typu człowieka! Na świecie wre i burzy się od przemian, posady kapitalizmu wstrząsnięte. Europa staje się pobojuwiskiem, na którym prądy pozytywizmu, klerikalizmu, materyalizmu, ultramontanizmu, liberalizmu i racjonalizmu, staczają zażartą walkę! - a my ... a my ... (śmieje się z ironią) mamy podlewać kwiatki! zepchnięte do podrzędnej roli, wiecznej, niedorosłej służki męskich egoizmów i pożądań.

Henryk. Ależ łaskawa Pani ... ja naprawdę ... nie miałem zamiaru ubliżyć kobietom ... Zresztą to tak naturalne! same piękne, garną się do piękna i pielęgnują je.

Eulalia. (zpatosem) O! czas już, czas! położyć koniec tym dzikim barbarzyńskim urojeniom, które chcą aby tylko piękno było kobiecie dostępnem! Stanowisko nowoczesnej kobiety w społeczeństwie wymaga aby nie tamowała ^{nu} drogi jej zdolnościom (placze się coraz bardziej) jej zadaniem naukowe zagadnienia - a niezależność zasad płci wymaga, by ... (urywa i odwraca się chmurna i dostojna)

Rostowska. (z ukrytem zadowoleniem, ciężko odychając) Moja Lalcia studjuje tyle nauk! Umysł ma niepospolity! wszyscy jej to przyznają A wiele się ona namęczy nauką! wiele napracuje! Wykładają jej najlepsi i najdrożsi profesorowie - a - och!

Henryk. To nadzwyczajne zamknięcie! pani dobrodziejko. nawet nadnaturalne!

Rostowska. O tak! Niedawno jeszcze hrabia Filstrzycki mówił mi: "o pani! pani - może być dumna ze swej córki! gwiazda feminizmu - (tak, nie mylę się... feminizmu) - unikała swą wybraną, płonąć nad jej nieśmiertelnym czołem!"

Henryk. Co za świetna rola!

Rostowska. O tak! A jaką masę książek sprowadza sobie! ó-och! Z Paryża! z Londynu! - zewsząd! Bo ona i angielski język świetnie posiada. It is well, my dear?

Eulalia. (po angielsku) Don't tack nonsense Im boskir me .

Rostowski. (wysoki, chudy, sztywny, angielskie bakenbardy, mina zasuszonego wyższego urzędnika, mówi w sposób wyniosły; napuszczony, z ogromną wyższością; z powagą i dostojeństwem do Skarzyńskiego)- Konflikty parcjalności komitetów, wywołując konsternacją, zdystansowanych kandydatów rewelują suppozycją, że deprawujący kontakt perwersnej interpelacji ...

Wacław. (do Anieli, obojętnie patrząc w niebo) Takie to wszystko mądre, choć uciekaj! Aż mdli!

Aniela. (z bólem) Owszem, taka różnaitość podnieca. Nuż tylko serca proste i szczere.

Rostowska. do Henryka (z przydechem) Ona ma tak wysokie aspiracje! o - och! czego - bo się tylko nie uczy! filizofii, ekonomii, socyologii, psychologii, psy... psychopatyi! Ma taką grubą kupę samych notatek! gdzie wszystko się znajduje - wszystko razem! To cały skarb pracy te notatki! Nawet już ich odczytać nie może!

Eulalia. (sucho) Myślę o pożytku społeczeństwa i staram się rozwijać konsekwentnie działalność. - Oto wszystko.

Rostowska. A - och! ja także nie usuwam się od pracy dla społeczeństwa! Jestem prezydującą w komitecie dobroczynności. Cały dzień mamy zajęty pracą. Ja z komitetu do komitetu... A Lalia studjuje: od dziesiątej do jedenastej geologię, później geognózyę, później antropologię; - profesor Schuster mówi o niej: że ona jest prawdziwą filozofką i psy... psychopatką. (wzdychając ciężko i chrapliwie od zmęczenia) Ja zaś, działalność w rozmaitych... posiedzeniach! .. rozwijam ...

Skarzyński. Pozwoli Szanowna pani do podwieczorku.

Rostowska. A dobrze! Na świeżem powietrzu pique - nique - Ostatnią razą u hrabiny Zinowieckiej... (wychodzi wsparta na ramieniu Skarzyńskiego-

go.)

Wacław. (do Anieli) Ci ludzie osłaniają się kulturą, jak strojem wdziwanym dla święta od parady, zrzucając go w interesach, w domowych stosunkach, jako zbyt uciskający do powszedniego użytku - i niewygodny.

Henryk. (do Eulalii) Może tymczasem pójdziemy obejrzeć te pogardzane przez panią kwiatki.

Eulalia. (spuszczając oczy) Z ochotą. Zerwę kilka okazów (Carduus acanthoides / Arctium Lappa) do mego herbarza.

Henryk. (podając jej ramię) Niech pani spojrzy: - co za barwy ... świeżość...

Eulalia. Kolory - które wyciągają ręce - i wrzeszczą. (oddalają się)

S c e n a V.

Wacław - Aniela.

Wacław. (głosem monotonnym i przygasłym) Kiedy patrzę na ten chaos głupoty i pychy ludzkiej, na to mrowisko miniaturowych ambicyjek, rozżartych egoizmów, całego wiru zabiegów, podstępów i wysiłków około tak śmiesznie małych biednych i marnych celów: - radbym co prędzej uciec z tego świata, w jakąś bezdenń nicości ... Chowam się odeń w fale tonów, we mgły nie-

stycznych wzlotów, radbym się schronić za szaniec prostych, wielkich dusz
Zapominam - pogrążywszy się w wiewach nieskończoności, chłonąc natężenie
nie drzemiących cisz polnych, bezbrzeżnej poezji pól i łąk ... słuchając
twego milczenia Anielko ...

Anielka. (z wybuchem) Mnie słuchając? Cóż ja jestem? ja? ja! taż
taka prosta wiejska dziewczyna, świata nieznająca, w głuszy wyrosła. Nie
umiem ścigać się z orłami... Serce mam tylko ... i to skrwawione ... oka-
leczone ... własną próżnością i pychą!

Wacław. Ty należysz do natur, co zamiast czerpać z ksiązek myśli
gotowych, wylęgłych z mózgow innych ludzi, chwytają drżące w przestworzach
żywiolowe wibracje, niewcielone jeszcze przez nikogo, wyczuwając je i od-
gadując ... W tobie przemawia dusza żywiołów, roztwiera się i marzy nie-
skończoność ... Wszystkie głosy i gwary przyrody ty przenikasz i z nimi się
zespalas, (wolno nie patrząc na nią, jakby w marzeniu) W tobie jest coś
z blasków i żarów porankowych dnia letniego ... coś z czystej krynicznej
wody, w której kryształowej tafli obraz świata odbija się, nie sfalszowa-
ny i nie wypaczony - lecz upiękniony, niby technieniem ideału owiany, udu-
chowiony - I teraz ... dziwię się ... że kryształ zmałony ... Co tobie...

Aniela. (śmiejąc się gorzko) Mnie? nic, nic! nie mi nie jest!
Jakżeś dobry żeś na mnie zwrócił uwagę!

Wacław. (żartobliwie, łagodnie) Dobry, żeś zwrócił uwagę? Wzros-
liśmy prawie razem. Pamiętam jak swywołiliście z Henrykiem, powietrze na-
pełniając ptaszęcym szebiotem - a ja z zasłony drzew, zarosli na was
patrzyłem ... Później, gdy wyjechawszy na naukę, długiem lata cię nie wi-
dział? - unosiłaś się wciąż przed mą wyobraźnią; każdy raz wracając do
rodziny, badałem z trwogą, czyś do owego mojego mirażu podobną. (Po chwila
milczenia - wpatrzony w grę światła - współsennie) A zresztą ... pię-
ne były niete chwile, którem przy tobie przebył, nie one najgłębsze pozos-
tawiły wspomnienia ... Najbardziej urocze ... najcudowniejszym czarem wio-
nęły te ... (z przymkniętymi oczyma) którem o tobie przemarzył ...

Aniela. (z roztargnieniem patrząc w ogród) Ciekawam o czem on tak
długo rozmawiać może z tą panną Eulalią?

S c e n a VI.

Wacław - Aniela - Henryk - Eulalia.

(Na zakręcie ścieżki ukazują się Henryk, na ramieniu zwieszona, skromna i tryumfująca, z opuszczonymi oczyma Eulalia.)

Henryk. (głośno, z usiłowaniem wesołości i swobody) Powinszuj mi Wacławie! panna Eulalia przyrzekła dzielić dożgonnie me losy.

Aniela. (wstając) - Twe ... twe ... losy!

Henryk. Właśnie przyrzekła mi swą rękę!

Wacław. (gwałtownie) Henryku! - (opanowując się) nie wiedziałem nic o twoich zamysłach.

Eulalia. (mierząc go wzrokiem, wyniosłe i sucho) Jednostka oddając się swym zamysłom, ulega bezwiednie nieznanemu sobie zamiarowi przyrody, współdziałając pewnemu rozwojowi, który wówczas nawet gdyby miała o nim pojęcie, małą przedstawiałaby dla niej wagę.

Henryk. Rzeczywiście, -- ha - ha - ha! gdybym miał pojęcie o swoich zamysłach, może inną przywiązywałbym do nich wagę ... ha - ha!

Eulalia (zmieszana, patrzy ostro na obecnych,) Czemu on tak okropnie z Kanta się śmieje?

Wacław. Takeś okropnie blady! może wody?

Henryk. (śmiejąc się wciąż śmiechem podobnym do spazmatycznego płaczu) Może jeszcze zaproponujesz: - na głowę ogoloną?

Eulalia (z kurczowem drganiem w twarzy) "Pojęcie historii powszechnej z punktu widzenia ludzkości", nie zasługuje aby natrzasać się zeń z barbarzyńskim wandalizmem zuchwalstwa.

Henryk. (śmiejąc się wciąż) - Pani! to z nadmiaru radości ...

Wchodzą Luborzeccy.

S c e n a VII.

Wacław - Aniela - Henryk - Eulalia - Luborzeccy.

(Luborzecki szlachcic barczysty, szpakowaty, twarz rumiana, wąs biały, oczy ogniste. - Luborzecka - suknia ciemna, prosta, postawa królewska, wyraz oczu przenikliwy, i łagodny.)

Luborzecki. Spóźniliśmy się trochę. Ta grobla w Borszczajówce chyba jak zęby starej elegantki, musiałem kazać odprządz orczykowego gniadosza bo bestya chciał przez poręcz skakać.

Luborzecka. Ale co wam? wyglądacie jacys przeżażeni?

Henryk. Radosny wypadek! (siląc się na spokój) Ojczel matko! oto

przyszła synowa wasza.

Luborzecki. Co-o?

Luborzecka. Jaktó, synu?

Eulalia. (do rodziców, sucho) Istotnem przeznaczeniem jednostki jest tworzyć z innymi ludźmi spójnię, pod względem scisłości coraz ciasniejszą, pod względem rozciągłości coraz szerszą...

Luborzecki. (zły) Bardzo! bardzo! dziękuję za splendor pani dobrodziejce!

(wychodzą z domku Rostowsy.)

Scena VIII.

Ciż - Rostowsy.

(Luborzeccy, Henryk, Eulalia, tworzą grupę w głębi. Na przodzie sceny, na lewo zatrzymują się Rostowsy. Na prawo pod bieżozą stoi Aniela i na ławeczce siedzi Wacław, który spogląda na grupę, z rękoma w kieszeni i ironicznie kiwając się.)

Rostowska. (spoglądając przez lornetkę) Ta hałastrą, zdaje się, to-ny jakies robi!

Rostowski. Stara szlachta. Duże stosunki. Chłopiec z głową.

Rostowska. A ja im zaraz utrę nosa!

Rostowski. Panna doletnia. (grymas dyplomatyczny) Nikt się nie kwapi. - (pódcchodząc w głąb, głośno i uroczyście) Błogosławie wam!

Rostowska. (lornetując Luborzecką) Syn pani jest podobno urzędni-kiem przy kopalni?

Luborzecka. (zdziwiona) Sądziłam, że pani wie o tem.

Rostowska. (wyniosle bawiąc się Bakuszkim) Wiem, ja wiem wszyst-ko! urzędnicy kopalni pobierają pensyę... taką jak nasz kamerdyner.

Luborzecka. (oburzona) To go może państwo zebrać na zięcia forty-waż!

Rostowska. (wspaniale) Ale! możemy przecież wybierać sobie... A-oh Zresztą zięd nasz musi prędko awansować! (podaje rękę Henrykowi, którą on całuje)

Rostowska. (odprowadzając męża na lewy przód sceny) A widzisz!

przysłał im rógów! Zobaczysz jak prędko wskaże im właściwe miejsce, na
uczę respektu.

Hostowski. (z miną dyplomatyczną, poprawiając okulary) Ee! możeby
lepiej zostawić na później... bo to...

(Henryk podchodzi do brata, Wacław pociąga go na lewy przód sceny)

Wacław. (z oczyma natchnionemi) Bracie mój! bracie drogi! nie gub
ty siebie.

Henryk. A! obudził się kamień. Co za ten uroczysty! wyglądasz jak
święty Stanisław, wywołujący z grobu Piotrowina.

Wacław. ^{Zastanawia} tylko! to niepodobna... Eulalia i ty!

Henryk. Jak widzisz, umiem się cenić. Ona jest córką naszego głów-
nego naczelnika.

Wacław. Więc karyera?

Henryk. (twardo) Tak, karyera! i gdyby karyera była tylko szeregiem
zer, ja w każdym razie jestem jednostką, i wyjdzie stąd potężna cyfra!
(wraca do grupy w głębi.)

Aniela. (cisnąc skroń rękoma) Więc z tą? z tą? z tym automatem na-
dzianym frazesami? więc ja jeszcze mniej od niej jestem warta?
(opiera głowę o pień brzozy i stoi odrętwiała)

Wacław. (wzburzony) Dobrowolnie głowę pod miecz oddaje! (siada na
ławeczce i kiwa się) Co w tym świecie się dzieje, to wprost przenosi
wszelkie wyobrażenia!

Aniela. (śmiejąc się jakby z łkaniem w głosie) Och! wyobrażeniu swe-
mu nigdy dowierzać nie trzeba! to takie złudne! takie fałszywe lusterko!
tak odmiennie ludzi przedstawia... zawsze w piękniejszym świetle. Jam
dotąd sądziła, że mam taką spokojną, nierozhukaną wyobraźnię... że chociaż
własnej wartości nie przesądzam, a okazuje się że o! nawet na sobie się
omyliłam! że... że... w rzeczywistości, tyleż jestem warta co kamień przy-
drożny, który gdy zawadza, można odtrącić nogą...

Wacław. (poprostu, szczerze) Ciebie odtrącić! Milczałam dotąd...
ale.. ty wiesz! ty jedna! może... potrafisz mnie nauczyć być szczęśliwym!

Aniela. (z goryczą) Więc mogę jeszcze komuś być przydatną? (z gry-
zącym szyderstwem) O! tyś szlachetny! Wacławie

Wacław. Przestaję tylko być ośleplym - (jakby zbudzony, drżąc i uro-
czyście) Ty... ty!.. moja ukochana!

(Henryk i Eulalia na lewym przodzie sceny)

Eulalia. Nie, nie! brylanty już są nie modne! Pierścień być musi z rubinem cyzelowanym, oprawnym enchaussé a jour, złoto cyzelowane, matowo.

Henryk. (nadśkakujący) Zastosuję się we wszystkim do życzeń pani. Czy może być także bransoleta i kolczyki?

Eulalia. Ach, dobrze! (ostro trochę) ale, nie wybieraj pan sam, bo to mężczyźni zwykle gustu nie mają! (z niezgrabną kokieteryą) a ja kocham piękno, i znieść nie mogę na sobie rzeczy nieestetycznych! Pomogę panu wybrać.

Henryk. Pierwsza wspólna działalność!

Aniela. (do Wacława zgerączkowana) A nie pożałujesz tego później? U pana dyrektora jest piękna córka, dobra, stokroć więcej warta odemnie! dwieście tysięcy ma! (śmieje się)

Wacław. (poważnie) Chodźmy do rodziców, Anielo!

(Podchodzą do grupy w głębi - Wacław coś mówi, poczem rodzice przygarniają do piersi bladą, jakby odrętwiałą Anielę.)

Henryk. (do Eulalii) Nie smiem nawet pani zapytać jakie kwiaty?

Eulalia. (z grymasem) Tego nawet pan nie wie! z początku białe, symboliczne - później... płomiennie! (z nerwowym drżaniem w twarzy cisnąc się do jego ramienia) tak... tak... purpurowe róże!..

Henryk. (pełen niesmaku i kurtuazyi) zastosuję się we wszystkim do życzeń pani. Wszystko - na jej rozkazy!

S c e n a IX.

Ciż - Skarzyński.

(Wchodzi Skarzyński spoglądając ze zdziwieniem i niepokojem. Chce coś mówić, powstrzymuje się i szarpie wąsy.)

Luborzecki. (do Anielki rubasznie) Więc to Wacław wybrał panienki. O w małżyciel, co to nie rozumiem, jak ze mnie mógł taki idealny niedołęga powstać! Myślałem że prędzej Henryk. Ten choć narwaniec ale dzielny

Luborzecka. Myślałam że losy rządzą inaczej... ale... Niech Bóg wam da szczęście!

Anielka. (tuląc się do niej) Matko! matko! - (wybucha płaczem)

Luborzecki. ^{Wz} Peruszone biedactwo! ale to naturalne! to prędko przejdzie!

dzie. (do Skarżyńskiego) No stary odludku z dwóch synów zenięł jednego dnia!

(W głębi ukazuje się służący niosący tacę z winem.

Wszyscy! toast! na cześć młodych par!

A K T II.

Taras otoczony balustradą, otwarty na jezioro posrebrzone światłem miesięcznym. W głębi drzwi do sali balowej rzęsiście oświetlonej.

S c e n a I.

Aniela - Wacław.

(Aniela w białej sukni, blada jak posąg kamienny. Wacław promieniejący i szczęśliwy.)

Wacław. Usiądź tu przy mnie, najdroższa moja - daj mi ukochane rączyny twoje - jakie chłodne! Cała wyglądasz dzisiaj jak posąg marmurowy.

Aniela. (smutno, głosem opadłym) Gorących uczuć dać ci nie mogę, Wacławie.

Wacław. Kwiatku mój śnieżny! wiesz... toby mi nawet cię psuło, gdybyś była zdolną, do namiętych wybuchów... tyś taka piękna... tak niepokalanie czysta w dziewiczej bieli... tchniesz takim czarem melancholijnej poezji... Tyś... lilia moja biała!

Aniela. Lilie mają duszę Wacławie, duszę... zboleła!

Wacław. O! jak ci włos cudnie na skroniach się złocił! jakie masz w oczach i na czole promienie! Madonno moja!

(Aniela oddala się o kilka kroków i stoi zapatrzona w przestrzeń)

Wacław. Z rąk twoich wzięść życie nowe... przed tobą odkryć duszę całą... Głębi przed nikim nie odsłaniałem, Wszyscy widzieli dotychczas tylko pozory. (Zamyśla się - potem głosem unoczystym)

Wysoko po nad poziom nędz ziemskich, wznoszą się niebotyczne góry, szczyty ich toną w lodowcach - tam wszelkie ślady życia już nikną...

W pustyni lodowej niemo - tylko łkanie się rozlega - monotonne, głuche: te łka wstrząsając się grozą, oślepta rozpacz bytu - i słychać straszne miarowe stapania - tak idzie konieczność -

tam wciąż przebywam duchem - chwilę zaledwie zstępując na ziemię - by z

zamętów znów uciec w swoje tajemnicze dziedziny - misterya nieskończoności, potężne - jak wszechświat! groźne - jak ból istnienia. (powstaje z rozwianymi włosami, w groźnym natchnieniu jak prorok.)

Aniela. (wstrząsając się) Zimno w tym świecie twoim - straszno!

Wacław. A lodowce wciąż bardziej zsuwały się w doliny, - grożąc pochłonięciem wszelkiego życia. A puls bytu coraz zamarzał. (zamyśla się po chwili ujmuje jej ręce z czułością) A teraz moja dusza jak rozdzierana struna ... dzwięczą w niej przecudowne melodie, hymn gwiazd wirujących w przestworzu ... na których określenie brak słów ... w pojęciu ludzkim brał wyobrażeń ... (opiera głowę o balustradę z nawpół przykniętemi oczyma) i tylko czasem ... błyska pragnienie ... aby znów wrócić w swoje niedostępne lodowce - (wstrząsa się, jakby się budząc ze snu) Nie! ziemia pociąga (ujmuje ręce Anieli) Mieć cię całe życie przy sobie patrzeć w nabożnym zachwycie na ciebie - oh! taką cudną! taką uroczą! Łoż cały bezmiar szczęścia ... wiedzieć, żeś niepodzielnie moja! moja! (Chcąc ją objąć uściskiem, Aniela usuwa się ruchem skamieniałego odrętwienia)

Wacław. Patrz na te złote heroglify, uwite w tajemnicze sploty i arabeski (Z sali balowej dopływa słodkie rozwiane echo pieśni "O gwiazdzie" Wagnera). Po nad tym światem widowym, nad nędznym zlepkiem krwi i błota, unosi się świat niewidzialny, co go okraża, przenika, jak atmosfera ziemię, jak eter atomy. W nim niby fale elektryczności w powietrzu, wibrują uduchownione siły i prądy, wieją świetlane obrazy nieśmiertelnych typów istnień. Wszystko co staje się na ziemi, jest wcieleniem owych zasadniczych idei, niosących w swem łonie pierwiastki zasadniczych form przyszłości, gotowych oblec się w ciało i życiem zatętnić.

(Przymyka oczy. Promienie księżyca oświetlają go widmowym blaskiem).

Jak myśl poprzedza wykonanie, - jak w odłam kamienia wciela się idea mistrza, - tak świat widomy jest tylko odtworzeniem owego pierwowzoru zamyśłów ludzkich, zwierciadła prabytu. Wszystko co staje się - stać się musiało!

(Pociągając Anielę w objęcia)

Chodź!

Aniela. (z bólem) Dusza moja zboleła; Wacławie - serce trwożne,
bez marzeń młodzieńczych; bez miłosnych upojen. Czy chcesz mnie taką zgnę-
bioną i lęku pełną?

Wacław. O dzieckol! dziewica - lilia!

(Zdaleka słychać echo dzwónu)

Posłuchaj jak tony wznoszą się - huczą i łkają... Płyną jak oderwa-
ne od ziemi duchy przeczyste, niosąc na skrzydłach jakąś ukrytą zagadkę
przyszłych wydarzeń, wyrocznie, tajemnych losów, nawołując i jęcząc...

(Aniela stoi zaśluchana w trwożnym przecuciu - Wacław patrzy na nią z
zachwytem) Tys cała też, jak ów ton modlitwy wieczornej - jak duch skrzyd-
laty jasny - jak pieśń.

Aniela. Wacławie! Ja nie jestem duchem tylko - ja... bardzo cier-
pię!...

Wacław. Chodź! Zagram ci. - (Wychodzą drzwiami na lewo.)

S c e n a II.

Henryk - Skarzyński.

Przez drzwi od sali balowej wbiega Henryk ze ślubnym bukietem u piersi

Henryk. Duszę się! duszę się jak tonący! (przebiega szybko terasę,
staje nad krawędzią, chwytając obu rękoma głowę. Z sali balowej wychodzi
Skarzyński, ogląda się spokojnie i postępuje do Henryka)

Skarzyński. O czym dumasz? (na jeziorze w oddali przesuwa się łódź)
Zdaje się, teraz dostrzegasz dopiero, na jakich toniach głębokich i niemych
spoczywa wąż skorupka... powszedniego bytu.

Henryk. (dostrzegłszy go, odwraca się zakładając ręce na piersi, zimno)
Znam to jezioro; dotychczas pływałem często po powierzchni, nurkowa-
łem i swywoiliem potężnymi ramiony - pewny że wypłynę - skoro zapragnę.

Skarzyński. (badawczo) A dzisiaj?

Henryk. (lekko) Dzisiaj mam u nóg stupudowe ciężary. Spuszczam się
na same dno.

Skarzyński. I przestało być zależnem od twej woli, wypłynąć?

Henryk. (ponuro) - Przestało. (po chwili ironicznie) Chciałbyś
może temu pochłonięciu zapobiedz?

Skarzyński. (obojętnie) Zapobiedz? po co? sprawy ludzkie toczą się

wytkniętą niezmiennie kolejają w nich samych tkwią załączki dalszego rozwoju. Odwrócić je - to samo co chciał zatamować bieg rzeki.

(Stoją naprzeciw siebie, spoglądając sobie chłodno w oczy)

Henryk. Wier mię już porwał.

Skarżyński. (śmuto) Ha! to nieunikniony skutek igraszk z falami. Nie zatrzymasz się u brzegu. Ból - żywioł bezdenny, wciąga w swoje odmęty. On - potęga!

(Henryk siada, pochyla głowę, zakrywając twarz rękoma - Skarżyński z wolna pochyla się nad nim, kładąc mu rękę na ramiona)

Henryk. (powoli, rozpacznie, cicho) Kiedy pomyślę... że nocy dziesiątszej... połączenie dwóch sprzecznych natur... I ten związek ciał który dotąd uważałem za proste rozkiełżanie chuci zwierzęcej, zmienia się w jakieś tajemnicze misteryum... niezgłębione... woła tysiąca generacji przez nie się przelewa, duch przodków... Potomki moje zdają się wołać na mnie: po coś nas usmiercił? po coś nas skarykaturował - skaził! - (wzdryga się ze wstrętem) Eulalia! - Geniusz rodu, geniusz syna mego krzyczy na mnie i woła zem zabójca. Zabiłem jego, siebie, - bo on był nieśmiertelnością, moją... Nie rozumiałem, szalony - że to on wołał na mnie z nieości: a ja obłąkany dumą piekielną, sądziłem, że to namiętność woła. - To... on! był jądrem mojej miłości, mego żywota, ten... geniusz! który miał ze mnie powstać! Zniszczony...

Skarżyński. Może inna płonka rodu go wyda - Wacław...

Henryk. (wściekle) Po co mi to przypominasz? On niema prawa do Anieli, on - ten mąż jej. Ona skalana będzie! shańbiona! ona moja! nakazem natury - moja!

Skarżyński. (surowo i z wolna) Zapóźno to zrozumiał. (usuwa się przez drzwi środkowe)

(Henryk chwyta z wściekłością czarną kwiatów, cisnąc ją o ścianę. Kwiaty rozsypują się po podłodze, odprysk szkła rani mu oko.)

S c e n a III.

Henryk - Aniela.

(Z bocznych drzwi wypada jakby uciekając Aniela, przycisną się do kolumny drząc cała.)

Aniela. O Boże! Boże!

Henryk. (w nienawistnym porywie zbliża się do niej - patrzy - po chwili ręce mu opadają - pauza - później głosem złamanym, trwożnie miękko)

Panna Młoda .. uróżna jak Lilja, blada .. jak .. statua mężczyzny ..

Dlaczegoś wyszła za ... brata mego?

(Aniela z czołem przyciśniętym do marmuru milczy.)

Henryk. (z dławionym wybuchem) Dlaczego zadałaś kłam swemu sercu? swoim zaklęciom? czyś ty mnie kochała naprawdę? mów! ty! Czy słowa dziewic są puchem, który odlata kędy wiatr powieje?

(Aniela nie odwraca się)

Henryk. (z wściekłością) Kochałaś mnie?

(Aniela milczy pohuro z zacisniętymi ustami)

Henryk. Kochałaś mnie? gdym duszę słał u stóp twoich, gdym siebie wyrzekał, o siebie mając za jedyne dobro moje na świecie! kiedy myśl rzeźwiej tryskała, krew warem płonęła, serce szalało na sam tylko dźwięk twego głosu?

(Aniela patrzy nań chmuřno i nieruchomo)

Henryk. (gwałtownie) To nieprawda, że ty możesz oddać się innemu. Ksiądz przed ołtarzem skłamał, dając ci to pozwolenie. Natura pólączyła nas ważniejszym ślubem. Złoczyńcą jest ten, co mi cię wydziera. Ty jeden mam prawo nad tobą, - ja jeden! prawo boskie!

Aniela. (z założonymi rękami patrzy nań w milczeniu - potem zwolna, spokojnie i z przyćśkiem) Teraz - szwagrze mój - nademną, prawo mężowskie.

Henryk. Ha! ha! "szwagrze"! - to grot którym mnie przebijasz, to nienawistne, najobmierzlejsze miano, którym ci sam podałem do ręki jak oszozep zatruty. Bij mnie nim, przebijaj! "szwagrze" - ha ha! to brzmienie organisty nad trumną. Bratowo moja! powiedz mi, ty kochasz Wachawa?

Aniela. (chłodno i dumnie) Jestem żoną jego.

Henryk. Rozumiem Cię; to tak, jakbyś wyrzekła, żeś twój kat, żeś twój morderca (pada na kolana) Zlituj się nademną! nad sobą się zlituj! nad.. nad.. przyszłemi dziećmi naszymi. Przez pamięć słów twoich, któreś dawniej wymawiała, zlituj się nademną! Chodź ze mną! chodź! uciakaj! ślub ten był nieważny! Jam się pomylił! Jam teraz tylko przejrzał - o! z taką przerażającą jasnością * żeś to ty! - a nie tania; że ty * nie Eulalia - jesteś żoną moją.

Aniela. Oddał się. Przysięgam. Sam mnie ku temu popchnąłś

Henryk. (porywając jej rękę) Bieźmy stąd prędzej! uciekajmy! Znajdziemy gdzieś daleko zakątek co nas przygarnie, - nieznanym. Patrz! silne mam ręce, potrafię ustrzedz cię od niebezpieczeństw, ochronić od nędzy. A ślub nasz... przed okrzykiem wszechświata, miliardem słów jarzącym. Nam „Veni Creator” zaśpiewa hymn nieśmiertelności; wszystkie akordy natury w harmonijny ton się łączą...

Aniela. (ze spokojną mocą) Dość tego! przysięgam. Ja cenię słowo swoje (patrzając nań surowo) skoro dla ciebie jest ono niczem,

Henryk. (uderza się w czoło, śmiejąc się nawpół obłąkanym śmiechem) Aaa! cha - cha - cha!!! prawda! prawda! ja szalony - prawda! to obłąd (z szyderstwem goryczą i znękaniem) Ja, żebrak przebrany w purpurę fikcyjnego majestatu, - ja - niewolnik największego upodlenia jakie obmyślić da się; małż. Eulalii.

(ponure milczenie)

Aniela. (miętko) Henryku! krew na twojej twarzy.

Henryk. Lekkie stłuczenie - bagatela (ociera w roztargnieniu czoło) ciało moje odrętwiało na ból fizyczny.

Aniela. (wyciąga doń rękę; spokojnie, rzewnie) stało się - Bracie mój, zapomnij! -

Henryk. (ponuro) Nie chcę zapomnieć. (po chwili) Z tego bezna-
dziejnego szoku miłości, ja całą moc, całą potęgę moją ukuję. Z tą wielką miłością, ja pójdę tam, na krzyż męczeński - na Gólgotę - na śmierć.

(Siada ponuro zamyślony. Aniela patrzy nań litośnie - w ciągu mowy jego, powoli zbliża się, jakby pociągana nieprzepartą siłą.)

Henryk. Takim jak ja ludziom, - przeznaczonem jest cierpieć. Cel ich tak odległy: trudny, że nie mogliby dojść z brzemieniem szczęścia. Nas czeka wielkie pobożowisko, na którym leżą poświęczone kawały życia, widma - karykatury życia. Tam w złowrogich czeluściach, rozlega się echo walki bezsilnej, z potęgą zagłady i zniszczenia. Tam, gdzie pleśń, zgnilizna i rany - pójdę samotny!

(Aniela pochyła się, kładąc mu rękę na ramieniu)

Henryk. Ja-zarażony trędem sprzedajnego związku, zejść w otchłań zara-
razy i hańby, w samo dno przepaści nędzy ludzkich: by wydobywać ginące twor-
ry na światło dzienne. (powstaje)

Ty jasna Beatryks, towarzyszyłobyś mi w to piekło nie mógł!

Aniela. (blada bardzo, z płonącymi oczyma) Więc z góry skazałeś

mię na brak mężstwa? A jednak ię czyś pytał mię ty - czy ja mam serce? czy

wolę z Wacławem na szczyty lodowe, czy z tobą pójść na boje? Rozporządzi-

łeś się mną jak rzeczą martwą, jak lalką - wyszarpałeś jej bez wahania

wewnętrzności, zdruzgotawszy i złamawszy, wyrokujesz że miała duszę tohórzli

wą. Ty - który chcesz zbawiać miliony, a poniewierasz duszę kobiety.

(Odstępuje z królewską unazą, odchodzi. Henryk pozostaje - Wchodzi

goście.)

S c e n a IV.

Henryk (odwrócony w stronę jeziora, nieruchomy) Gogus, Goście.

1-szy Gość. Coś bardzo żywa dyskusya. Pachnie nieudanym romansikiem.

2-gi - Znosi się na zabawną komedyę.

3-ci ← Ba! Eulalia nie da z siebie zażartować. Zanadto pewna wła-

dzy papy dobrodzieja.

Gogus. (różowy, modny, pachnący i strojny) przelatując od jednego do drugiego) Ależ słuchajcie panowie! a propos... opowiem wam, co mi się niedawno wydarzyło. To coś okropnego!

1-szy Gość. Tobie zawsze coś takiego się zdarza.

Gogus. Właśnie! kobiety ciągną do mnie jak na dep! wszystkie! szczególnie zaś pewna ... ale panowie! to tajemnica!...

2-gi Gość. (śmiejąc się) Wymów że ją, wymów na koniec tę tajemnicę, bo cię zadławił! Już się krztusisz ...

Gogus. No! ostatecznie, jeśli mię tak bardzo prosicie, to powiem! Ale chyba wam tylko! bo pod słowem honoru - to absolutny sekret!

3-ci Gość. Zrzucaj że raz z serca ten ciężar. Pewno jaka kucharka udaje, że cię bierze na seryo.

Gogus. (tryumfując i tajemniczo) Ale! gdybyście wiedzieli - prawdziwa dama! z wielkiego świata! to kapitalne!

1-szy Gość. He! żartujesz sobie. Skądżeby znowu?

2-gi Gość. Laury don Juana spać mu nie dają - i biedak nadrabia fantazyę.

Gogus. (desperacko, starając się ich przekonać) Ależ ... zaręczam!

szczęście do kobiet ma takie, że... że to coś... fenomenalnego! Wiecie przecież! kobiety... faktycznie... lubią ładnych chłopców...

Wszyscy. (śmiejąc się) To prawda niezaprzeczona!

Goguś. I w dodatku! sztywnych! to kapitalne!...

1-szy Gość. Więc to ten sekret, któryś nam zapowiadał?

Goguś. Kiedyż mi przerywacie fatalnie... Otóż... ona! jest tak za zdrowa i wymagająca... że... słowo honoru! to coś bajecznego! Niedawno... (szepce im coś do ucha, pokazując na migi - wszyscy się śmieją)

Goguś. Prawda? fenomenalne!

Wszyscy. Wierzymy! - wierzymy - ale z zastrzeżeniem.

Goguś. (uradowany) Wierzycie? (niespokojnie) Ale po co z zastrzeżeniem? z jakim?

Wszyscy. Że przygoda spotkała nie ciebie.

Goguś. (rozpaczliwie) Ja wam jeszcze pokażę... ja absolutnie dowiedę!... słowo honoru!

S c e n a V.

Ciż - Rostowscy - Luborzeccy - Eulalia - Tłum gości.

Wchodzi inni goście, między nimi Rostowscy, Luborzeccy, Eulalia.

Rostowski. (staje na środku z poważnym gestem kończąc rozmowę) Tak, tak panie Luborzecki. W polityce niema godziwych i nie godziwych środków. Moznaby tę zasadę rozciągnąć do życia.

Rostowska. (z czułym rozradowaniem) Jacyż oni podobni do siebie! oboje jednakowo rozumni! Henryk i Lalia.

Luborzecki. (gorąco) Etyka polityczna, w życiu nazywa się rozbojem.

Rostowska. (głosem ochryplym i figlarnym) No! państwo młodzi! pocałujcie się!

Rostowski. (z cierpką godnością) Silni zawsze powinni zwyciężać. Abnegacya siły na rzecz altruizmu - jest absurdem.

Rostowska. (z pobłażliwą dyskrecją) Żenujecie się? no- no! później będzie tego dobrego po uszy.

Luborzecki. (z oburzeniem) Siła użyta w niegodnym celu - to przemoc gwałt!

Rostowski. (sucho) Nie karykaturujmy siły wyrazami.

Eulalia. (z wyniosłością Pytyi) Siła bywa dynamiczna i potencjalna

Luborzecki. (gorąco) Jakto? więc pan usprawiedliwia siłę bez słuszności?

Rostowski. (imponująco) Frazesy! frazesy! Świat nie może być stekiem i przytułkiem niedołęgów. Naczelną dewizą cywilizacji, jest walka o byt.

Rostowska. (wykwintnie i chrapliwie) Walka o byt! - to dobre dla kucharek. Czyż ty się z kim bijesz? Czy hrabina Zizicka i ja, kiedykolwiek się bijemy? A dlatego mamy byt - i porządny! Osoba delikatna i z wychowaniem, nigdy nie będzie walczyła o byt.

(Eulalia odchodzi od towarzystwa, w marzacej pozie układając się na szezlongu)

Rostowski. Ludzkość dzieli się na silnych i niedołęgów. Jednych udziałem jest postęp - drugich wsteczność. Dla pierwszych wszystkie środki są dobre, drudzy póty w nich przebierają, moralizując, aż zostaną prześcignięci przez mądrzejszych. Cel uświęca środki.

Rostowska. (żałośnie) Ja trawie obiadu nie mogę, zaprawionego temi kwestyami (zbliża się do Eulalii)

Eulalia. (głosem grymasnym) Kiedyż nakoniec zostawią nas samych?

Rostowska. (z porozumiewawczym uśmiechem) Pilno ci popaść w zęby wilkowi, sařenko.

Henryk. (głosem pewnym i silnym) Cześć wielkim zbrodniarzom, co sztandar trzymają na stosie trupów, dając za jedno zmiążdżone życie, byt tysiącom innych. Pele zbroczone posoką krwi najżyźniejszy wydaje płon.

Luborzecki. Cóż, szaleńcze, usprawiedliwia ^{doła} zbrodnię?

Henryk. Wielki cel! którego wyniki przewyższą ilość cierpień różlanych dla jego osiągnięcia.

Rostowska. (do córki, dobrodusznie) O co się oni tam sprzeczą tak zawzięcie? ja nic a nic nie rozumiem.

Eulalia. (ostro - cicho) Nie pleć lepiej matko bez sensu! do tego nigdy przyznawać się nie można! (ogląda się) Jeszcze kto usłyszy!

Luborzecki. Co z wami młodymi gadać! mądrale, panie dobrodzieju, fiu - fiu! wszystkie rozумы pojedli; ^{radłudzi} - jakich tam powymyślali, czy dyabli wiedzą co! Chcą świat przewrócić do góry nogami! jak gąbki bez woli Boga

mogło cokolwiek stać się!

Henryk. Gdyby każdy bał się zostać chirurgiem, ludzkość umierała by od gangreny.

Luborzecki. I po co to wszystko! poco lecieć na gwiazdy? ziemi, ziemi lepiej się trzymać! prostych, powszednich, od wieków przekazanych obowiązków.

Luborzecka. (hamując go, łagodnie) Czyż możemy, stojąc w bezpiecznym porcie, potępiać tych, których burza rzuca na oceanie? te są zdobywcy nowych światów.

Luborzecki. Ha! dziękuje uniżenie za te nowe światy, w których przedewszystkiem trzeba budować domy dla warjatów!

(wśród rozmawiających grup, kręci się Goguś)

Eulalia. (gryząc wargi) Czy ten wieczór nigdy się nie skończy?

Goguś. (pochylony nad nią, figlarnie tajemniczym szeptem:) - Owszem, nadejdzie noc!

Eulalia (zadyszana) Eł mógłbyś pan nie gadać niedorzeczności...

(Goguś ożywiony, rzuca na prawo i na lewo tajemnicze znaki i szepoty; goście zaczynają żegnać się i usuwać.)

S c e n a VI.

Eulalia + Henryk.

Eulalia -(głową na spuszczoną, minę zawstydzoną, - stoi - czeka (z mi noderyją) mnie się jeszcze nic a nic spać nie chce! (przechodzi obok Henryka, uśmiechając się figlarnie i głupkowato, + czeka - po chwili odpinając kwiaty od stanika, głosem stłumionym) Tak mię ta śpiłka zadrasnęła! Może pan pomoże mi odpiąć...

Henryk. Zażaz zawałam panny służącej +

Eulalia. Ta-ak? - nie potrzebaj! (odrywa kwiat, i rzuca ze złością na ziemię.)

(Henryk z wolna zmierza ku drzwiom)

Eulalia. (z przekąsem) Dokąd - że to?

Henryk. Obowiązki gospodarza ...

Eulalia. Wszyscy prawie się rozjechali! Zresztą, dzisiaj ja chyba jestem pierwszym gościem?

Henryk. (z kurtuazją) Raczej panią wszystkiego. (staje odwrócony, spoglądając na jezioro - Eulalia podchodzi i kładzie mu głowę na ramieniu)
(Henryk obraca się i patrzy na nią, posępnie - po chwili chłodem)
Pani tak niewygodnie! Niech pani lepiej usiądzie.

Eulalia. Usiądźmy razem (usuwa się na szezlong, nie wypuszczając ramienia Henryka)

Henryk. (usiłując powstać) Chciałbym powiedzieć parę słów ojcu. Pani pozwoli?

Eulalia. Wciąż to etykieta! "pan" "pani" - ja chcę czegoś słodkiego: ty!... ty... ty!.. czegoś słodkiego! - (przymyka oczy)

Henryk. (podając jej klosz cukierków) Służę pani.

Eulalia. Figlarzu! (ustami trzęsącymi się namiętnie) Dlaczegoś tak nieśmiały? Henryczku! Rysiu! przecieżes mój! moja własnością są twe oczy. usta... (całuje go)

(Henryk usuwa się delikatnie, na twarzy widnieje męka)

Eulalia. (przysuwając się doń z ostrym wybuchem czułości) Tak dawno! tak dawno... myślałam o tej chwili! gdy inne, jedna po drugiej szły za mąż, a ja wciąż czekałam... czekałam! w studyach zatopiona. Teraz za to... chcę żyć! (tuli się doń z ostrą lubieżnością)

Henryk. (usiłując powstać) Pani jest zmęczona. Musimy się rozejść.

Eulalia. (ustami na ustach) Uścisnij mnie teraz - uścisnij twą klatkę... powyjmuj śpilki (mdlejącym głosem) rozpuść włosy.

Henryk. (wrywając się z jej objęć) Nie! nie zniosę dłużej tej męki! przerachowałem się z siłami...

(Wstaje - Eulalia podnosi się też, z rozpuszczonymi włosami i potarganym welonem - straszna)

Eulalia. Więc to tak? Nędzniku! (głosem trzęsącym się od wzburzenia) Chciałeś tylko mego posagu - nie mnie?

Henryk. (znękany) Powoli przyzwyczajamy się może... Zresztą wspólność naszych przekonań...

Eulalia. (ze złością) Właśnie teraz pora na żarty! Ja to wiem tylko, żeś kobieta, żeś mnie do swoich celów użył! zniszczył! Gubicielu! (zaczyna szlochać)

Henryk. (z męką) A najstraszniejsze w tych wyrzutach, najbardziej do niezniesienia - to że są słuszne (zakrywa twarz)

Eulalia. (rozzuchwadena, stojąc przed nim) Cha - cha! podążały

cię wysokie stosunki, władza mego ojca. Mnie masz za nieprzyjemny dodatek?

(Henryk milczy)

Eulalia. (szarpiąc koronki) Mnie masz za nic! może zaprzeczysz?

Henryk. (ponuro) Samaś sobie winna. Przesiąkłaś atmosferą kłamstwa, pó coś raz w życiu zażądała prawdy?

Eulalia. (krzykliwie) I ja tobie, ja ^{tuż} w oczy rzucę prawdę! Wiesz! mogę dbać o ciebie, tyle co o dziurawy pantofel, ale należysz do mnie! Poprzysiągłeś mi!

Henryk. (głosem zmienionym) Nie przysięgałem ci posłuszeństwa.

Eulalia. (szarpiąc go) Nie prawda! kupiłam cię! płacę ci tak, jak płacę swoim lokajom.

Henryk. Hola! ranem twym jestem! (chwytając ją za rękę)

Eulalia. (szamocąc się, głosem ochrypłym) Och! jakże cię nienawidzę! jakże cię nienawidzę! Zdepcę cię!... zgmiotę! Jestem żoną twoją, słyszysz! twoją żoną! ja mam na ciebie prawo! ja potrafię ustrzedz swojej własności! (gryzie go w rękę - Henryk ją puszcza)

Henryk. (głosem złamanym) Nie potrzebujesz mnie strzedz... (z głęboką niechęcią) Będę ci wiernym.

Eulalia. (z tryumfującą nienawiścią) Ale ja nią nie będę! aha! tyś sądził może, żeś mnie zaparł do klatki? (z furją) że będę gnębiła siebie trzymała na wodzy wiecznie? że ciągle będę znosiła głód zmysłów?

(W głębi ukazują się lokaje sprzątający pokoje.)

Henryk. (oponowując się, wskazuje na nich) A więc możesz pani puścić im cugli. (Kłaniając się z wyszukaną grzecznością) pozostawiam jej zupełną swobodę -

(Odchodzi)

Eulalia porywa się za nim, szarpiąc koronki

Zasłona spada.

A K T III.

Buduar Henrykowej bogato urządzone. Zwierciadła, pórtyery, kwiaty

S c e n a I.

Eulalia - Cogus.

(Eulalia w strojnym negliżu, żółta i zła. Goguś modny i wyświeżony wymyka się cichaczem. Eulalia wskazuje na przejście.)

Eulalia. - tędy - tędy!

Goguś. przecież wiem. (chce uciekać)

Eulalia. (zatrzymując go) Przyjdziesz dziś z ceremonialną wizytą?

Goguś. Ależ...

Eulalia. Przyjdziesz! koniecznie o dwunastej punkt. Musisz być!

Goguś. (wymykając się) Ależ... najdroższa ... kiedyż bo to ...

Eulalia. Ja tak chcę!

Goguś. Ależ... faktycznie ... twój mąż! to jest, chciałem powiedzieć,

brak czasu ...

Eulalia. (groźnie) Znudziłam cię już? chcesz mię opuścić!

Goguś. (pośpiesznie) Nie - nie - nie to! och!.. (próbuje zemknąć)

Eulalia. Gdzieindziej zabawiasz się lepiej?

Goguś. (przerażony) Ależ ... najdroższa! wierzaj mi! nie ...

Eulalia. (trzymając go za poję, cicho, namiętnie) Patrz! ten haft

pajęczy ... to dla ciebie!

Goguś. (przyglądając się robocie) To bajeczne! .. ale .. co z tego

będzie?

Eulalia (pochylając się ku niemu z szeptem tajemniczym) Nocna koszu-

la!

(Widząc wchodzącego Henryka, kamienieje, puszcza robotę i po-
ły surduta. Goguś korzystając z tego, bez pamięci ucieka, w progu natyka-
jąc się na Henryka)

Goguś. Przepraszam! nie chciałem ... nie wiedziałem ... nie miałem
zamiaru! ...

Henryk. (chłodno) - Bardzo wierzę.

(Goguś usiłuje zemknąć)

Henryk. (ujmując ze stołu rękawiczki) - A nie zapomnij pan tego.

(rzuca mu je w twarz. Goguś zmieszany, schyla się, zbiera, kłania, poczem
ucieka.)

S c e n a II.

Eulalia - Henryk.

(Eulalia przez ten czas siedzi majestatycznie, udając że syczy, i rzucając na męża ukosne, badawcze spojrzenia. Henryk zamyślony i niespokojny chodzi po pokoju, nie zwracając na nią uwagi.)

Eulalia. (rzucając robotę, ostro) Cóż? skończy się wreszcie twoja przechadzka? Szczególniejsze, że jako teren swoich pieszych popisów, wybierasz mój buduar. Drażnisz mi nerwy.

(Henryk przestaje chodzić, siada na fotelu, zakłada ręce na pierś patrząc na nią uważnie.)

Eulalia. (kwaśno) Cóż tak mi się przypatrujesz? jak gdybyś szukał śladów zmarszczek czy łez, wyciśniętych twym niehumanicznym postępowaniem.

Henryk. (spokojnie) Śladów łez nie widzę. A i zmarszczki są dawne jak świat, na ciele i na duszy.

Eulalia. Dowodzi to dziwnej odporności mojej natury, przy takim miłym mężu (śmieje się spazmatycznie) można osiwieć.

Henryk. A ty tylko brzydniejesz coraz (oglądając ją) pomimo wciąż nowych strojów, które przywdziewasz.

Eulalia. (spazmatycznie) Tak! tak! teraz wymawiaj mi tych trochę świecideł, którymi przyozdabiam swą niedolę.

Henryk. (niedbale) Niedolę - zresztą już pocieszoną...

(Eulalia zmieszana milknie, rzucając nań z ukosa badawcze, ostre spojrzenie. Henryk spokojnie pali cygaro, nie zwracając na nią uwagi)

Eulalia. (zwolna przychodząc do siebie) Aj - aj! co za dym! (misteralnie zwraca oczy krztusząc się) głowa mię boli!

Henryk. Przepraszam panią! (Idzie do kominka i dusi cygaro. Eulalia chwyta się za głowę, krzywiąc się)

Eulalia. Boże! o - och!

Henryk. (odwraca się) Co takiego?

Eulalia. Buty twoje niezdolnie skrzypią.

Henryk. Aa! zdjąć ich przecież w twoim pokoju nie mogę; pozostać wiam to innym.

(Eulalia blednie, mieni się, rzucając nienawistne spojrzenie na Henryka, który spokojnie przegląda notatki)

Eulalia. (ochłonawszy, ostro) Zostawieś na podłodze niedopaloną zapalkę!

Henryk. A więc?

Eulalia. To nieporządek! tyle razy wołam na służbę, gderam, napominam, ale do czego dojść można, skoro pan domu żyły przykład daje.

Henryk. Przyszedłem z zapalonym papierosem. Zapałkę musiał upuścić ktoś inny. Ale dość tego, moja pani małżonko! (Wstaje, Eulalia mieni się na twarzy.)

Henryk. Pojmujesz że nie przyszedłem tu dla ... przyjemności rozmowy z tobą, ale dla omówienia pewnej kwestyi.

Eulalia. (przychodząc do siebie, zjadliwie) Zapewne! po przyjemności chodzisz gdzie indziej.

Henryk. Naturalnie! czyż mógłbym ją znaleźć u ciebie?

(Eulalia kąsa wargi.)

Henryk. Na nieszczęście, - nie znajduję ich nigdzie.

Eulalia. (szydersko) Jednakże wieczorami późno wracasz do domu!

Henryk. (spokojnie) Pracuję. Wiesz zresztą o tem dobrze, bo mię sledzisz. (Siada i opiera głowę na rękę; głosem zmienionym:) Natura od mówiła mi cennego daru ... szukania karmu ... w żołądździach ... raczej głód. Cóż! taka sama ułomność jak inne ... (Siedzi chwilę zamyślony i nieruchomy)

Eulalia. (piskliwie) Mój flakonik! o Boże! mój flakonik!

Henryk. (budząc się z zamyślenia) Co się stało?

Eulalia. (z żalosnym wrzaskiem) Wziąłeś mi go z kominka, i postawiłeś tu na stole - umyślnie aby mi zrobić przykrość. Czy ja mogę być zdrową? czy ja mogę nie chorować na nerwy? skoro mi tak wszystko na przekór robisz! Dbam o ład, o systematyczność, porządek, staram się być dobrą gospodynią, aby ci dom uczynić miłym: ale czy to ocenić potrafisz? ty tylko z domu uciekasz!

(Przykłada chusteczkę do oczu i usiłuje płakać. Henryk spokojnie pisze coś w notatniku, Eulalia ociera łzy,) - po chwili ze złością.

Eulalia. Moje nerwy nie wytrzymają takiego nateżenia! te sceny codzienne! te męczarnie które od ciebie znoszę! Dokuczasz mi! dręczysz na każdym kroku. Wczoraj na przykład przepadła mi brylantowa broszka. Życie moje jest wprost nie do wytrzymania!

Henryk. W czemże to mnie się tyczy? czy przypuszczasz że ja ukradłem?

Eulalia. Mogłeś przecież ująć się za mną! Wyłajać Rozalkę. Rozkazać by ją poszukała.

Henryk. Sama to czynisz bez przerwy.

Eulalia. (w złości) Teraz znów mi wymawiasz moją gospodarczość i rzędność. Cały ciężar obowiązków domowych radbyś na mnie zwałić i dziwisz się gdy mi służki zuchwale odpowiadają! To tak zawsze, - gdy mężczyzna domu nie pilnuje.

Henryk. Czyś już skończyła?

Eulalia. Na każdym kroku wyrządzasz mi impertynencje. Wczoraj u radcowstwa grałeś w karty, - i widziałam że przegrałeś. Pamiętaj, że każda przegrana złotówka jest moją złotówką, i że z każdej powinienes przedemną zdać sprawę. A ja patrzyłam jak trwonisz mój majątek i dusiłam się nie-szczęsną z żalu, na tej kanapie, gdzie mnie głupia radezyni wśród starych bab ulokowała. Ty nie masz serca!

(Henryk spokojnie pisze coś w notatniku)

Eulalia. (w najwyższej passyi) A radezyni opowiadała jak ta Anielka, ta miła bratowa któraście z nędzy podjęli, po za granicach jezdzi, i pozwiała się portretować malarzom, którzy ją o to cha - cha! na kolanach proszą! Za wiedzą męża, cha - cha! może nie wszystko zresztą za wiedzą męża.

Henryk. (wstaje blady) Basta! dość tego! trzeba ci kazać milczeć, skoro sama uciszyć się nie umiesz.

Eulalia. (dusząc się ze złości) Co? mnie! córce naczelnika! kazać milczeć? mil ... milczeć! co!

Henryk. A tak - kazać! skoro nie masz ani taktu, ani (smagając ją spojrzeniem) uczciwości!

(Eulalia milknie naraz zieleniejąc; skubie i obrywa swoje koronki.

Henryk. Skończmy już. Nie przyszedłem tu wywoływać scen, których mam dość. Chciałem ci tylko oznajmić wizytę Wacławowstwa i zalecić (z przyściskiem) abys ich gościnnie przyjęła.

Eulalia. (gryząc chustkę) Przyjmę ją tak grzecznie... jak na to za sługuje...

Henryk. (ciskając w nią wzrokiem) Ty masz sądzić? ty!

Eulalia. Po co ona zastawiała sidła na Wacława?

Henryk. Ha ha! biedna ptaszyna, co sama łowców wabiła!

Eulalia. Twój brat ją podjął z błota.

Henryk. Jak śmiesz! (chwytając ją za ramię)

Eulalia. Z nędzy chciałam powiedzieć.

Henryk. Milcz!

Eulalia. (z krzykiem przeraźliwym) Zabię mnie!

(Drzwi się otwierają wchodzi Wacław.)

S c e n a III.

Eulalia → Henryk - Wacław.

Henryk. (starając się przyjść do siebie, udaje swobodę) Więc wróciście wreszcie z zagranicy!

Wacław. (wyswieżony, wesoły, wygląda młodziej) ściskając mu rękę serdecznie) A tak - tak. Wczoraj dopiero! i zaraz do ciebie! do was, chciałem powiedzieć. (wita się z Eulalią)

Henryk. (głosem niepewnym) Gdzież żona?

Wacław. Anielka spotkała się z ojcem. Zatopili się w radaści powitania. Zaraz tu będą.

Henryk. Zostaniecie u nas na obiedzie (do żony) Proszę cię, rozporządź się!

Wacław. Z ochotą! Radbym być z tobą jak najdłużej (do Eulalii) ale może ...

Henryk. Ależ proszę! proszę z bez ceremonii!

Eulalia. (z przyciskiem, do męża) Postaram się spełnić twą wolę.

Henryk. Mój Wacusi! tymczasem ci parę ważnych spraw do oznajmienia

Wacław. Sprawy? brrr! jakie to nudne... Ale wiesz? Skarzyński obiecał mi pokazać dobytą w wykopaliskach jakąś cudowną amforę.

Henryk. Potem! a teraz pomówimy obszerniej o misji co cię wywołała za granicę. Jakież postanowienia zapadły na zgromadzeniu akcjonariuszów?

Wacław. Przywiozłem ci uchwały (podaje mu papier). Obarczono mnie pełnomocnictwem inspekcji.

Henryk. (czytając chwyta się za głowę) Znoszą wszystkie instytucje, którem założył: kassy emerytalne, zaliczkowe, opiekę nad chorymi, szkoły. Jest to ruina wszystkich moich planów.

Wacław. Cóż począć? Oni mają prawo to wykonać.

Henryk. (zgorączkowany. Chodź ze mną. Musimy przeciwdziałać. Trzeba podać zmienione wykazy . . . Ty mi w tem dopomożesz . . .

Wacław. (kóżywia się i wybucha śmiechem wesołym i dźwięcznym, trochę cienkim) Ha - ha - ha!

S c e n a IV.

Eulalia.

(Wychodzą do gabinetu. Eulalia wstaje z krzesła i pokazuje pięść za

ciśniętą w kierunku drzwi)

Eulalia. Poczekaj + ty! postaram się ja być uprzejmą!

S c e n a V.

Eulalia - Skarzyński - Aniela.

Po chwili wchodzi: Skarzyński, Aniela.

(Aniela w czarnej sukni; wygląd klasztorny; ręce przezroczyste; opuszczone; mówi zwolna, cicho, głosem przygasłym.

Eulalia wita ich majestatycznie; kwaśno; wskazuje im miejsca, sama siadając na kanapie - i miłozy.)

Skarzyński. (rozglądając się) Pani dobrodziejka ładnie gniazdko sobie urządziła.

Eulalia. (cierpko) Miałam dość na to. Co innego niż te ... (obrucając Anielę nienawistnym spojrzeniem) bezposadne ... co powinnyby się krępować w wydatkach, a pozwalają sobie na zbytki.

Aniela. (spoglądając na robotę rozrzuconą, obojętnie) Ładny haft. Co to będzie?

Eulalia. (z pomieszaniem) Ach! to dla biednych ...

Skarzyński. (rozwijając) Haftowana bielizna! pani dobrodziejka wspaniale jest dobroczynna. Ej! założyłbym się, że to mężusia tak pani pieści!

Eulalia. (podnosząc się wzburzona, chwyta robotę) Muszę wydać rozporządzenie co do obiadu, państwo darują? Przytem jestem jeszcze w negliżu.

Skarzyński. (uprzejmie) Ależ proszę nie żenować się z nami.

Eulalia. (zjadliwie) Córka pańska, jako rządna - przypuszczam - gospodyni, tem łatwiej to zrozumie i wybaczy.

Aniela. (uprzejmie i chłodno) O - proszę!

Eulalia. Do tego, ta szelma Rozalka zarzuciła gdzieś moją broszkę. Muszę dopilnować, aby przetrzęsła wszystkie kąty. (Wychodzi zabierając robotę. Po jej odejściu Aniela skłania się i przymyka oczy.

S c e n a VI.

Aniela - Skarzyński.

Skarzyński. (patrzy na nią smutno chwiejąc głową, 2 potem miękko)
Córuchno!

Aniela. (budząc się) Dziaduniu! (stara się udać wesółość) to te
trudy podróży ... tak mię osłabiły.

Skarzyński. (patrzy na nią smutno - milczenie - . Po chwili poważ-
nie, cicho) Nie jesteś szczęśliwą?

Aniela. (z wybuchem) Dziadku! (głosem złamanym) Wacław jest tak
dobrym! najlepszym z ludzi ... i tak mię kocha!

Skarzyński. (smutno) A ty?

Aniela. Powinam go kochać - i on na tę miłość zasługuje ... (opie-
ra głowę o kolumnę) a jednak tak mi pusto i smutno ... (z wybuchem)
czasem serce mi pęka w bezkzawym bólu + a on wzniesiony w obłokach, nie
widzi nic, - marzy, gra.

Skarzyński. On się nawet ożywił przy tobie. Słyszałem: śmiał się.

Aniela. (z ogniem tłumionym) Ale ja przy nim zamarła.

Skarzyński. (zamyślony) To czysty duch zbłąkany na ziemię

Aniela. (skarżąc się) Duch czysty - dlaczegoż mi z nim tak cięż-
ko, smutno, zimno? tak obco? ja czuję w piersi cały ciężar ziemi.

Skarzyński. (zamyślony) Gdy wzbije się w podobłoczne krainy - idź
za nim.

Aniela. (pódnosząc głowę, płomiennie) Nie mogę ... i nie chcę!
Boję się tych lodowców niedostępnych, bez śladu życia ziemskiego. To
grób! Tam na dole całe mrowisko trosk i nędz ludzkich, całe obszary
walk i czynu, tam ... (cofa się z krzykiem) Henryk!

S c e n a VII .

Skarzyński - Aniela - Henryk - Wacław .

S c e n a VII .

Skarzyński - Aniela - Henryk - Wacław .

(Henryk nie widząc jej wychodzi z gabinetu, kończąc w progu rozpoczętą
rozmowę - Aniela stoi nieruchoma, skamieniała, odwrócona ku oknu).

Henryk. Więc mi odmawiasz pomocy ?

Wacław. Aby uczciwie wywiązać się z zobowiązania, muszę przedstawić
prawdę.

Henryk. Nawet prawdę należy nagiąć, aby służyła naszym celom. Zresztą
prawd jest tyle, ile różnolitych treści życiowych.

Wacław. Nie! prawda jest tylko jedna.

Skarzyński. Nie doszłiscie do porozumienia i

Henryk (z niezadowoleniem) z nim nigdy zorjentować się nie można, co i jak działać. Na wszystkie dążenia zgadza się - wszystkie paraliżuje. To fala miękka, niby nie przedstawiająca oporu, a burząca.

Skarzyński. Żartujesz. On, taki dobry?

Henryk (niecierpliwie) Właśnie dlatego. Dobrocią swą uniemożliwia rozwój konsenkwentnej działalności.

Wacław (wesół) Dość już na mnie wymyślać! Porywam dziadunia i lecimy obejrzeć wykopaliska (do Henryka) Widzisz, ucisk dopiero wówczas znika nie z powierzchni ziemi, gdy sprawcy jego pojma swą niesprawiedliwość. Wprzód ich należy nawrócić . . .

Henryk (z szyderstwem) Przekonać wilków aby nie zarzynali owiec! Mur kamiennego egoizmu chce przebić nabojem grochu!

Wacław (wybucha śmiechem dzwicznym, trochę cienkim). Czy wolałbyś pociski dynamitowe? No, dość już tej błahej i marnej krzątany w próżni, zwanej interesem. - Anielko! zaraz wrócimy.

Skarzyński Do widzenia wnusiu!

(Wacław i Skarzyński wychodzą)

S c e n a VIII.

Aniela - Henryk.

(Henryk i Aniela stoją nieruchomi naprzeciw siebie. Milczenie.)

Henryk. (po chwili, nieśmiało, głosem drżącym) Długo tu was nie było! podróżowaliście rok cały.

Aniela. (tragicznie spokojna, skamieniała, usta zaciśnięte bólem lekko drżą, chłodno) A tak, podróżowaliśmy. Obejrzeliśmy wszystkie cuda Europy.

Henryk. Mogliście rozkoszować się dziełami sztuki, płodami natchnienia wielkich mistrzów, wykwintem artyzmu: gdy my tu (lekko, żartobliwie) oraliśmy jak woły.

Aniela. (z goryczą) Tak, mogliśmy rozkoszować się dziełami sztuki . . .

Henryk. (Wciąż skrepowany, wzburzony, a silący się na ton swobodny) A przedtem dwa lata siedzieliście na wsi, zamknięci jak gołębie . . . Po osamotnieniu, tem więcej pochłoneło was morze wrażeń . . .

Aniela. Pochłoneło nas . . . całe morze . . . nicości! (Płomień przebiega jej rysy, drży.)

Eulalia. (przeze drzwi) Mężu!

Henryk. Czego sobie życzysz?

Eulalia. Ten niezdara Maciej nie mógł dostać na targu raków! Wieczne utraśnienie z tą służbą! Poślij pó wino i przekąski.

Henryk. Zaraz (wychodzi. Aniela zakrywa rękoma twarz - poczem podchodzi ku oknu i staje w skupionem zamysleniu. Henryk powraca.)

Aniela. (cicho, łagodnie i serdecznie) Rada jestem bracie, widząc świetne rezultaty twojej pracy, o ^{doszły nam} ~~twoim energicznym zarządzie kopalni~~; Wiści o licznych ulepszeniach jakie zdołałeś wprowadzić, zewsząd rozlegały się echa rozgłosu twojej działalności, na wszystkich ustach słowa uznania.. Nie uwierzysz jak mię to cieszy! (podaje mu życzliwie rękę, w oczach jej błyszczą łzy)

Henryk. (sciskając jej dłoń, chmurno) Nie wiem czy cieszyłabyś się wiedząc jaką masę wysiłków, rezultaty te osiągnąłem.

Aniela. (z niewymowną słodyczą). Nie szkoda wysiłków dla twego ~~szczę~~ szczęścia, bracie!

Henryk. (z wybuchem) Mego szczęścia? ha - ha - ha! szczęścia! Wszystkom com zamierzył - osiągnąłem. Władza w mem ręku, - i hołdy tłum; + ale nie jestem szczęśliwy.

Aniela. (patrzy nań poważnie, smutno) Nie jesteś?

Henryk. (szepcąc wzburzonym) Jam nigdy nie dbał o szczęście... pogardzałem niem... i teraz dopiero zbudził się taki szarpiący... srogi głód duży... Dla władzy i sławy, jam miłość pokonał, miłość na której stoi świat. Czyż ty nie wiesz (głosem zdławionym) że ja cię kocham, kocham bez pamięci, że proste bodaj widzenie ciebie jest mi niezbędnem jak życie, jak powietrze.

(Aniela ręką zakrywa oczy i stoi tragicznie nieruchoma jak posąg kamienny)

Henryk. (zapalając się) Czy wiesz ty - żeś mi potrzebna jak ziemi ciepło i światło słońca? że wytrącić mię z tej orbity, to... śmierć!

Aniela. Henryku! pamiętaj - jam żona twego brata.

Henryk. Żona brata! prawda - prawda - wiem o tem. Zapytaj jednak serca twego - ono ci powie, kto bratem, a kto mężem. Po za mgłą, co ci śliczne oczy przesłania... tam państwo moje! tam ja króluję bezpodzielnie. Ty ciało swoje jemu oddałaś, ale ty nie masz władzy oddać mu duszy

swojej.

Aniela. (zwolna, głosem złamanym) Ty wiesz - moje istnienie ... skończone ... Wszystko przypruszył popiół obojętności, wrzawa życia już oddawna przebrzmiała ... i taka grobowa cisza! ... Zostaw mnie taką martwą - miej litość nademną!

Henryk. Nie! nie litości - ty wołasz miłości! Twoje zaciśnięte bólem usta, milczące, odrętwiałe, drżą pragnieniem płomienną pieśczęty. Ja dam ci miłość - miłość bezgraniczną. Ramionami swymi cię otoczę i ty w nich ożyjesz, szczęściem rozkwitniesz. Ja oswobodzę cię!

Aniela. (z rozpaczą) Słuchaj - na mnie już zapadł wyrok zagłady. Wszystko zamarło. Byt mój nie ma przyszłości, - i tylko wiara ... której brak tobie ...

Henryk. Wiara? Miłość twoja jest mej wiary twórczynią. Nie wiesz żem ja, materyalista z krwi i kości, kazał rozumowi w mistycyzm uwierzyć aby go wyratować z obłądu. Ja - z tobą wieczność całą żyć będę społem. Jak pył zrywany wiatrem z gościńca, za pyłem twoim gonić będę. Z gwiazdy na gwiazdę podążę, urągając śmierci - wszelkim świata przemianom - zawsze - wszędzie!

(Aniela ślania się w rozmarzeniu, przymykając oczy)

Henryk. Czy wiesz ty, że i ciało twoje do mnie należy, bo jest tylko ducha odzieżą - a los jak handlarz ślepy, z odzieżą sprzedał twoją istotę. Bo duch i ciało powinny być nierozdzielne. Ty musisz zostać wolną - musisz!

Aniela. Tam może ... w zaświatach ... Nie tu!

Henryk. Nie chcesz? a wiesz ty, że przez mgłę oczu twoich, duch twój przegląda, nieustannym bólem łkający, ciałem znużony, stęskniony za mną ... Dusza twoja do mnie należy - i ciało twoje jest moim ciałem - zwartym, nierozdzielonym odemnie atomem. Ja - z tobą - na wieczność całą!

Aniela. Henryku - szal! - szal...

Henryk. O tak - ja szalony jestem (chwyta ją w objęcia) I te cudne, szafirowe oczy ... zamkną się na wieki! złote włosy opadną jak rzucona przedza ... tę pierś rozkoszną robactwo toczyć będzie! te alabastry barwy pergaminu przybiorą ... Więc nigdy, nigdy! t a k a już cię mieć nie będę ... więc nigdy żarem mych pocałunków cię nie dotknę, nigdy ust

twoich purpura krwi mej w ukrop nie zwarzy. Haa! -

(całuje ją namiętnie)

Aniela. (wyrywając się) Boże mój! Boże!

Henryk. Tak - to ja - twój Bóg - i ty - Bóg mój! Więc wołaj: Boże! i ja wołać będę: Boże, Boże, Boże mój!

Aniela. (kamienieje w posąg surowy z płomiennymi oczyma) Bluźniesz opamiętaj się! szaleństwo... obłąd... (odstępuje, piorunującym wzrokiem miazdząc Henryka)

Henryk (głosem nagle opadłym) Tak niestety - tylko szaleństwo... obłąd! przebacz mi... (Osuwa się bez sił na krzesło, cisnąc obu rękami czoło, jęczy) - Aa! aa!

Aniela (stoi chwilę przysłaniając rękami oczy jak bezprzytomna - potem przyciska czoło do szyby, jakby chcąc się opamiętać - niema gra z Wreszcie spogląda na Henryka ze współczuciem) miękko) Ty bardzo cierpisz?

Henryk. (cicho, nawpół obłąkanym szeptem) Widzisz - tu! (wskazuje na pierś) skupiło się teraz całe piekło! kłębią się jakieś larwy... potwory... Ja nawet tego wysłowić nie potrafię! są rozmaite nazwy... ból... cierpienie... katusze... ale dla mnie potrzebąby jakieś nowe słowo obmyśleć (z silnym nateżeniem umysłu) jakaś potęga zła zstępuje! Jakiś ryk zapadających się sklepień świadomości... opętanie!...

Aniela. Cóż powiem ci? słowa na usmierzenie bólu są bezsilne... Cierpieć będę razem z tobą... (Milczenie)

S c e n a IX.

Aniela - Henryk - Goguś.

(Wsuwa się ostrożnie, uchylając portyere, Goguś.)

Goguś. Czy można? (Widząc Henryka cofa się zmieszany) Ja... faktycznie! punkt o dwunastej... musiałem absolutnie... przyjść!

Henryk. (jakby olśniony nagłą myślą) Ależ proszę - proszę. Właśnie mi wypadł nagły interes. Muszę wyjechać na cały dzień. Anielko chodź odprowadzę cię! (do Anieli, cicho, z krwawą ironią) A może boisz się teraz ze mną? bez mężowskiej opieki.

Aniela. (dumnie) Nie. To co mnie broni - jest we mnie (rzewnie) Nie poniżaj nas obojga przypuszczeniami. (Wychodzą)

Scena X.

Goguś i Eulalia.

Goguś (po ich wyjściu biegnie do drzwi i skradając się zagląda, - poczem skacząc z uciechy:) Poszedł! poszedł sobie naprawdę! ten szatan z tygrysiemi oczyma...! (biegnie do drzwi na lewo, śmiejąc się głupkowato i szczęśliwie i stuka) Aa! oo!

Eulalia. (za drzwiami cierpko) Kto tam mi przeszkadza?

Goguś. (tryumfując) Niema nikogo Lalcu! to ja!

Eulalia. Ty cherubinie! (wysuwa głowę w nieładzie toaletowym, z jedną brwią mocno uczernioną - i zaraz się cofa)

Goguś. (błagalnie) Lalcu chodź! ...

Eulalia. Zaraz! zaraz!

Goguś. (natarczywie) Kiedyż - bo to taka pyszna historia! muszę ci opowiedzieć!

Eulalia. Natychmiast! tylko kończę się ubierać ...

(Wychodzi z pośpiechem, oglądając się dookoła. Suknia krzywo zaepięta, brwi nierówno namalowane.)

Eulalia. (namiętnie) Co chciałeś mi powiedzieć? mój kotku najdroższy! pudełku! (z żarliwą czułością) moje ... moje najmilsze prosiatko!

Goguś. (skacząc na pięcie) On wyjechał! wyjechał! i dzisiaj nie wróci - i wszyscy sobie poszli do dyabła! Och la - la - la - la!

Eulalia. (chwyta go porywczo za rękę) Chodź!

Goguś. (przestraszony) Co? zaraz?!

Eulalia. (despotycznie) Natychmiast!

Goguś. (zakłopotany) Oj! kiedyż bo to ...

Eulalia. (wściekle) Przestałeś już mię kochać?

Goguś. (desperacko) to fatalność! nie chcę... nie mogę!... nie pójdę.

Eulalia. Okrótник! Zdradzasz mię dla innych?

Goguś. (z godnością) Kiedyż - jeśli powiadają, że nie mogę, to znaczy absolutnie ...

Eulalia pieszczotliwie głaszcze go pod brodę. Niema gra.

Goguś. (po chwili - skwapliwie) Zresztą... jestem gotów!...

Chodźmy! (głosem rozkapryszonym, tupiąc nogami) Prędzej!

Eulalia. (patetycznie) Szczęście nie czeka! Należy korzystać z każdej chwili. (Wychodzi na lewo)

Goguś. (spieszając za nią) Jak kobiety na mnie działają... To faktycznie... nie do uwierzenia... fenomenalne!... (Znikają)

S c e n a XI.

Henryk - Skarzyński - Świadek.

Henryk ze Skarzyńskim i panem ufoczyście wyglądającym, z ogromnymi ostro wyfixatuatorowanymi wąsami)

Henryk. Darujcie, panowie, że was narażę na uczestnictwo w rozwiązaniu niemiłej sprawy: *Próbuję mi pomóc do uzyskania pozwolenia, jako świadek* (podchodzi do drzwi) Eulaliu!

(Z pokoju na lewo słychać okrzyk przerażenia. Henryk przystępuje do drzwi i próbuje wyłamać, po kilku pchnięciach drzwi ustępują. - Henryk wyciąga za kołnierz trzęsącego się Gogusia.

Świadek. (do Skarzyńskiego chłodno) Sprawa - widzę - poważna! wysoce honorowa.

S c e n a XII.

Henryk - Goguś - Skarzyński - Świadek.

Goguś. (obwisając w rękach Henryka jak liść złamany) Ja... ja... przepraszam! doprawdy - ja nie miałem zamiaru! Ja... (głosem złamanym) nie miałem...

Henryk. (chłodno) Teraz będziesz się pan ze mną bił, (dostaje dwa pistolety) wybieraj!

Świadek. (sucho) Obrażonemu przysługuje prawo wyboru broni. (uroczyście) który z panów czuje się obrażonym?

Goguś. (głosem gasnacym) Kiedyż ja... absolutnie... nie miałem zamiaru!

Henryk. Daję ci pierwszy strzał o dziesięć kroków. Gdybyś nie przyjął, palnę ci w łeb jak psu.

Świadek. (surowo) Nie pierwiej aż odmierzę teren! (odmierza skrupulatnie 10 kroków, u jednego końca stawiając Gogusia, klaszcze w dłonie) Raz - dwa - trzy!

(Goguś strzela, mrużąc ze strachu oczy.)

Henryk. Chybiłeś, błaznie! - a teraz moja kolej! (mierzy do dygoczącego Gogusia, który płacząco się krzywi.)

(Świadek, Skarzyński stoją na uboczu z założonymi rękami)

Świadek. (chłodno) Zapomniałiście panowie, przyzwać lekarza?

Goguś. (z impetem padając na kolana) Li - toś - ci!

Henryk. Dobrze. Ukarzę cię w godniejszy sposób.

Goguś. (skwapliwie) Z ochotą spełnię każde życzenie pańskie!

Henryk. (groźnie) Mój rozkaz: bierz ją sobie na małżonkę!

Goguś. (zmieszany) Ale po cóż to doprawdy? ... Taka ofiara ze strony pana Dąbrodzieja!...

Henryk. (drżąc gniewem) Powiadam ci, błaznie, ożenisz się z nią

Goguś. (obrażony) Ja nie mogę ... Ja muszę pierwej spytać mamy! Ja bez żadnych złych zamiarów.

(Henryk wolno podnosi lufę.)

Świadek. (z powagą, godnością i lekką urazą) Stójcież panowie u mety! (objasnia uroczyście i wyniośle) Rękę z pistoletem podnosi się wolno - zaokrąglając w łokciu - najcelniejsze są strzały w brzuch.

Goguś (głosem opadłym) O - że - nie - się!

(Pada na krzesło bliski zemdenia, wachluje się i ociera chusteczką skronie)

Skarzyński. (do Henryka) Jesteś teraz zadowolonym?

Henryk. O ile można być zadowolonym w podobnych warunkach! Z sumy cierpienia, pozbyłem się wstrętu. (Przez drzwi ukazuje się twarz podsłuchującej Eulalii).

Goguś. (głosem umierającym) Wody!

Henryk. (do Eulalii) Pomóż pani swemu kochankowi.

(Eulalia zbliża się z szyją wyciągniętą niespokojnie)

Goguś. (z trwogą, zasłaniając się od niej rękami) Nie! o nie! (spuszcza głowę na piersi, poczem z głębokim wyrzutem) Po cóż mi pani do siebie wa - bi - bi - biła? bezwzględnie na mój wiek młodo - do - cia - a - ny?

(Eulalia porywa się jak tygrysyca. Oczy jej ciskają płomienie)

Goguś. (z wymówką) Myślałem, że pani choć strzedz się potrafi lepiej....

Eulalia. (ze wściekłością) Nikczemnik!

Goguś. (ze skargą, zwracając się do Henryka) Ot tak zawsze! Ka-
zała mi! - a teraz się wypiera... (markotny i skrzywdzony, do Eulalii)
W pani wieku należy mieć rozsądek... A nie mówiłem? później!

Eulalia. (chwilę stoi nieruchoma; później zakrzywia palce w kształt
cie szponów, zbliżając je do twarzy Gogusia.) Ja się zemstczę! potwo-
rze! popamiętasz ty mnie!...

Goguś. Naturalnie! skoro muszę z panią się ożenić... (zakrywa
oczy chusteczką, płacze)

Eulalia. (z furią) Dzisiaj jeszcze opuszczę ten dom, gdzie mnie
tak znieważają!

Henryk. (chłodno) Właśnie chciałem panią o to prosić.

Eulalia. (wzrokiem ciskając pioruny) Och! czemuż nie mogę jednym
zamachem obalić kariery, którą wzniosłeś na moich funduszach.

Henryk. Fundusze pani są nietknięte.

Eulalia. Naturalnie! dałabym ci je też tknąć! zaraz się stąd wy-
noszę. Kufry odesłesz mi później (wybiega za drzwi. Za sceną słychać
jej głos) Pakować kufry! Rozalko! kufry!

Skarzyński. (do Henryka) Wygładasz tak, jakbyś się nie mógł jesz-
cze uporać, z czemś strasznie, co cię pożera.

Henryk. (ponuro) W obłędzie poświęcenia dla idei, popełniłem błąd
który zamierzam poprawić.

Skarzyński (wskazując drzwi któremi wyszła Eulalia) Czy to pierw-
szy krok na zamierzonej drodze? klatka złamana, i orzeł wylatuje na
swobodę?

Henryk. (złowczego) Jeśli jakie marne zapęty stoją jeszcze mu na
przeszkodzie, to zginąć muszą bez śladu. Jestem dość silny na to, aby
mieć prawo być szczęśliwym.

(W ciągu rozmowy tej, Goguś z wolna podnosi głowę, rozgląda się
i widząc że nań nikt nie zważa, próbuje dać nura.)

Henryk. (podnosząc lufę) Oddam cię wprost w ręce tej pani!

(Goguś zawstydzony, siada.)

(Eulalia wychodzi w kapeluszu, z torebką podróżną, dumna i majo-
statyczna, okryta czarnym woalem. Żegna obecnych milczącym ukłonem, bie-
rze Gogusia pod rękę - i wychodzi)

Goguś. (we drzwiach już, z jękiem) Bże! Co na to wszystko ludzie

powiedzą!

Eulalia. (wracając, woła ostro przez drzwi. A pamiętaj Rozalko o mojej zaginionej broszce! Odpowiesz mi za nią)

Koniec aktu 3-go.

A K T IV.

Gabinet Henryka. Zmrok. Na ścianach wiszą stare portrety, w kominu pali się ogień, na biurku krwawią się płomyki dwóch świec. Za sceną słychać swist wiatru.

S c e n a I.

Luborzecka - Henryk.

Henryk siedzi zatopiony w myślach. We drzwiach ukazuje się Luborzecka; zrzuca płaszcz i parasol, - patrzy nań długo - wreszcie zbliża się.)

Luborzecka. Henryku! Henryku! - nie słyszy... (kładąc mu rękę na ramieniu) Synu mój! dziecię moje ukochane, ty cierpisz?

(Henryk spogląda na nią pośpiesznie i milczy)

Luborzecka. Pozbyłeś się wreszcie swego utrapienia - i tak bolejesz

Henryk. (chłodno) Pozbyłem się jednego ziarna; dzwigam całe snopy płonów i skutków.

Luborzecka. Cóż teraz zamierzasz?

Henryk. Przestałem sterować. Sam ulegam prądowi.

Luborzecka. Jakże myślisz teraz urządzić życie?

Henryk. Człowiek jest tylko igraszką, ślepych potęg. Czyż mogę wyważyć się mocom nieodgadnionym a nademnie stokroć silniejszym?

Luborzecka. Należy bieg życia ująć w ręce, i wolą swą wytknąć kierunek przyszłości.

Henryk. Czemże jest ludzka wola, w obec wiohru pędzącego piasek istnieć przez pustynię wszechświata?

Luborzecka. (wstępując) To straszna teoria burząca cały gmach ludzkich wysiłków. Człowiek powinien wierzyć że wolą swą stwarza bieg wypadków.

Henryk. Gdybyż, dlatego że wierzyć powinien, było to prawdą!

(Milczenie)

Luborzecka. Zaczynaś przemawiać jak Wacław! Ilec on syn moich ro-
jeń, ty - pogodzenie z ziemią. (Zamyśla się, potem cicho i smutno)
Wówczas gdy miał przyjść na świat, marzyłam... lata całe * o ... nie-
obecny. (po chwili) Może dlatego on marzeniami wciąż w niebo ulata,
ty dążysz do opanowania rzeczywistości.

Henryk. (zamyślony) Dziwnie! dlaczego naraz życie ludzkie z taką
namiętnością przylega do jednego z pyłków wirujących w przestrzeni, mi-
ja całe bezmiary - dążąc niepohamowanie, ślepo, do zespolenia z owym
jedynym.

Luborzecka. (łagodnie) W marzeniu tylko zespolić się, synu.

Henryk. (gwałtownie) I to jest właśnie zbrodnia! Zamiast genu-
szu przyzywanego nakazem gatunku, sciągnąć na ziemię: taki twór niedokoń-
czony, połowiczny, taką... efemeryczną bańkę mydlaną...

Luborzecka. (cisnąc czoło) Aa! rodzina by się rozpadła przy ta-
kich pojęciach.

Henryk. (z siłą) Nie! rodzina by się utrwaliła, gdyby człowiek
stał na takiej wysokości, że pogardziwszy przelotnymi związkami, miał
jeden raz w życiu prawo, * do jednej wybranej.

(milczenie)

Ty sama matko, powiedz, czyś nie żałowała nigdy żeś nie zerwała
więzów owej ciasnej, narzuconej, urojonej cnoty?

(Luborzecka zakrywa twarz rękami - milczy.)

Henryk. Tylko takie pełne zlanie się osobowości, duszy i ciała, jest
ważnym. Wy zaś stawiacie jego skorupę na świeczniku, i każecie jej skła-
dać bałwochwalcze pokłony.

Luborzecka. Małżeństwo pobłogosławione przez kościół, powinno właś-
nie być takim związkiem.

Henryk. (śmiejąc się) Małżeństwo - to spółka interesów. Targowis-
ko.

Luborzecka. (gorąco) Dlaczegoście go do tej roli zepchnęli? Szu-
kacie teraz nowej świątyni, nie bacząc że tuż obok wznosi się odwieczna
opuszczona i zawałona gruzem.

Henryk. Tamta przestała być świątynią - stawszy się giełdą.

Luborzecka. Bo wchodzićcie niedbale i frymarząc, * gdy trzeba do
niej zbliżać się na kolanach. Miłość - to świętość nad inne wyższa.

Wyrzekać się jej, toż sumo oć sprzedawć swą nieśmiertelność.

Henryk. (z gryzącą ironią) Tyś ją jednak matko, sprzedała.

Luborzecka. Nie! ja ją poświęciłam.

Milozenie.

Henryk. (ponuro) Jam ją poświęcił też... dla ludzkości cierpiącej bez miary, i jej synów wydziedziczonych.

Luborzecka. (z łkaniem w głosie) Biedny mój szlachetny synu!

Henryk. (chmurnie) Nie apoteozuj mnie matko. Jam tylko człowiek (pociera czoło rękami) i dlatego tak cierpię!

Luborzecka. Będę prosiła Stwórcy, aby ci zesał szczęście.

Henryk. (ze spuszczoną głową i zakrytą rękami twarzą) Matko moja! matko! dlaczego ja w taki tylko sposób szczęśliwy być mogę?

Luborzecka. W jaki sposób?

Henryk. (z wysiłkiem) W sposób... niesłychanie... trudny.

Luborzecka. (głaszcząc jego włosy) O mój synu! nie doceniłś się własnych. Jeśli praca dla dobra ludzkości jest twoim celem, czemuż byś nie miał posiadać zadowolenia?

Henryk. (złowrogo) Matko! ja będę szczęśliwym!

Luborzecka. Dzięki ci o Boże!

Henryk. (chwytając jej ręce) Nie! nie mów tak matko! nie mów tak! mnie tchu brakuje... Nie mów!

Luborzecka. (ze zdziwieniem) Co tobie Henryku?

Henryk. (opanowując się) Nic, nic. Widzisz, wstrząśnienia dzisiejsze wyprowadziły mnie z równowagi. Potrzebuje spokoju.

Luborzecka. Pójdę więc. Powóz mnie czeka u bramy. O! jakżem rada z two go męstwa!

Henryk. (wstrząsając się) Odprowadzę cię do powozu, matko (pomaga matce ubierać się)

Luborzecka. (ogładając się) Jak tu dziś ponuro! jakiś smutek sączy się ze ścian.

Henryk. (uśmiechając się) Atmosfera moich myśli, matko. (wychodzą po chwili Henryk wraca.)

Henryk. Jak deszcz pluszcze i syczy! jakby wszystkie szatany urwały się z uwięzi. (chodzi zamysłony po pokoju) Gdybym mógł z paszczy

sfinksa przeznaczeń wydrzeć jedno pytanie! (zatrzymuje się, jakby w po-
nurem obłąkaniu) Wszakże to ty miałzys? nie ja!

S c e n a II.

Henryk - Lokaj.

Lokaj wchodzi z młody blondyn, blady, mizerny, z wyciągniętą twa-
rzą i dobrodusznymi wytrzeszczonymi oczyma, i gapiowatą miną, ułożenie
pełne godności.

Lokaj. Proszę jasnie pana, przyszedł pan Administrator,

Henryk. Niech wejdzie.

Lokaj. (poufnie) Ledwie się dobrał do dworu. Wichura taka że
niech ręka Boska broni.

Henryk. Dlaczego latarnia u bramy niezapalona?

Lokaj. (z wielką godnością) Dyciem już ją zapalał, - ale... (ma-
cha ręką) gasi...

Henryk. (głos donośny, dziwnie dzwiczący, posępny i straszny) Go-
ścia dziś oczekuje. Niech się pali.

Lokaj. (markotny) Sam bym rad. Bo to i podróżnemu w taką wichu-
rę drogę wskaże, i obrazowi Matki Boskiej, co go starszy pan w bramie
przybić kazał - cześć się należy - i zawsze pod opieką świętości człe-
ku przespieczniej...

S c e n a III.

Henryk - Administrator.

Administrator (typ semicki, strój nieposzlakowany, maniery eleganckie,
niekiedy zarywające brutalnością, oczy bystro biegające, dużo błyszczą-
cej biżuterji. W mowie bardzo poprawny, nawet wytworny, ze starannie
hamowanym, niekiedy przebijającym niespodzianie żydowskim akcentem; układ
ny, gorliwy, podstępny i chytry.

Administrator (z wytwornym ukłonem) Chciałem właśnie przedstawić
panu dyrektorowi . . . Ale może przeszkadzam ?

Henryk. Usiądź pan. Sprawy zarządu nie przeszkadzają mi nigdy.

Administrator. Przyniosłem właśnie rachunki kas robotniczych, plany
szpitalu, ochrony . . . (patrzy nań uważnie) ale może ten projekt nie
dojdzie do skutku ?

Henryk (z uśmiechem) Owszem, nie zaniechałem go (przeogląda papiery)
Administr. (wpijając w niego badawcze spojrzenie) Sekretarz przybył
właśnie ze zjazdu akcjonariuszów. Przywozi ważne nowiny.

(Henryk w obojętnym milczeniu przeogląda papiery)

Administr. (kręcąc się niespokojnie na krześle) Pan dyrektor każe
kończyć plany ?

Henryk (z niewzruszonym spokojem) Naturalnie.

Administr. (oczy i palce latają nerwowo) Podobno na obradach uchwa-
lono podwyższenie pensji administracji. Pan dyrektor musi być zadowolony.

Henryk (obojętnie) O, to jeszcze nie pewnego. Wniosek naszkicowa-
ny za ledwie, może uledez zmianie.

Administr. (żydowskim akcentem) Co - o ! Ja - ak ? (hamując się)
Szkoda byłoby zmieniać. To bardzo mądre ustawy. W ogóle powiększą ogrom-
nie zyski przedsiębiorstwa (patrzy nań uważnie, jakby starając się od-
gadnąć) Potok złota połyne akcjonariuszom. Rzeki złota ! . . . (zachli-
puje się ze wzruszenia) Wszyscy na tem zyskają!

Henryk (chłodno) Prócz robotników.

Administr. Pan dyrektor wybaczy mi śmiałość? (z wybuchem nagłej
szczerości) pozwoli mi z serca, tak, ze szczerego serca wyrzec słów parę?
Dlaczego mamy tylu korzyści pozbawiać się dla tej dzikiej hołoty? Teraz
lwia część dochodów idzie na podniesienie dobrobytu tych ordynarnych cha-
mów (z żydowskim akcentem) a czy pan może liczyć na ich wdzięczność ?
Gdzież tam? W każdej innowacji podejrzewają oszustwo i chęć wyzysku.

Henryk (z bladym uśmiechem) Przyzwyczajeni są.

Administr. (z latającymi bystro oczami, niespokojnie oglądając się)
Dla nich pan jest przedstawicielem władzy, - a zatem znienawidzonym !

Henryk (obojętnie bawiąc się ołówkiem). Ha! trudno ginącego z gło-
du przekonywać o powabach cnoty. Nie dbam o popularność.

Administr. (patrzy nań szeroko rozszerzonymi zdziwieniem źrenicami,
przyczem uśmiech niedowierzania ściąga mu wargi). Pan dbać o tłum ? Pan
dyrektor może być wielkim, jednym z największych przywódców, kopalnie
będą się dobijały o jego zarząd. (W zapale podnosząc się z krzesła) Pan
dyrektor przez największe trudności potrafi przejść zwycięsko.

Henryk. Lecz nie do obcych celów.

Administr. (nagle siada, po chwili głosem obrażonym) Co pan teraz

każe mi robić ?

Henryk. Kontynuować rozpoczęte prace. Jutro wydam szczegółowe rozporządzenie.

Administr. Kłania się ze wzrokiem błyskającym niechęcią i che chodzić.

Henryk. Zaczekaj pan. Jeden punkt ustawy wydaje mi się słusznym. Sam zresztą też miałem zamiar podwyższyć panu tantjemę. Oto jest część przypadających na pana procentów,

Administr. (odbiera pieniądze, które liczy śliniąc palce, z przyspieszonym oddechem, blednie i ręce mu drżą, po chwili pokornie) Jeszcze o moim udziale w kasie jasny pan zapomniął. *

Scena IV.

Henryk.

Henryk. (przechadza się z wolna) Teraz zgnieść w sobie trzeba krętyńczną moralność karłów! - (zatrzymując się ściska rękami skronie) Myślałem że to tak katwo!.. (chodzi) Jak pusto! smutno! tylko moje autenaty spoglądają na mnie ze scian, wzrokiem żywym, -; wzrokiem straszonym - jakby przenikając zamiary (Zwracając się w stronę portretów) chciecie Czego odemnie? moje ubiegłe, moje przeszłe ja? Czemu spoglądacie tak badawczo groźnym okiem sędziów? czyście wy nie bronili własnych praw i przywilejów, poniżając całe zastępy - Ja wasz potomek - prowadzę dalej wasze dzieło. Dla społeczeństwa lepiej, jeśli takie osobniki do świata nieprzystosowane, do życia niezdatne - z życia się usuną. Suma szczęścia ludzkości tylko zyska na tem. Na miejscu piasków lotnych, jałowych na których nic zbudować ani wyrosć nie zdolne, powinna powstać rasa silna i dzielna, - która potrafi ludzkości i sobie z kamienia szczęście wykrzesać. - (mrok zapada coraz większy słycać swisty wiatru)

Henryk. (zatrzymuje się, oczy nieruchome i ponure wbijając w przestrzeń) Ona mnie kocha! (nie mam prawa poświęcić jej. Cierpi i kocha. Mógłbym siebie poświęcić)

(Mrok zapada coraz większy. Słycać poświsty wiatru.)

Henryk dzwoni - wchodzi lokaj.)

Scena V.

Henryk - Lokaj.

Lokaj. (trzęsącym się głosem) Panie! to jakaś okropna noc! trzy

*

Henryk. Zostaniesz pan odpowiednio wynagrodzonym. Potrzeba nam dzielnego i bystrego, jak pan człowieka.

(Podaje mu rękę. Administrator uradowany kłania się kilkakrotnie z uniżonością i odchodzi).

razy latarnię próbowałem zapalać, i trzy razy gaśnie. A Żuczek i Dyan-
ka: legły u bramy, wywiesiły jęzory, wytrzeszczyły oczy w ciemności - i
wyją tak że Boże uchronaj! A kiedy niesłem Żuczywo, to szarpie tak,
aż mi z ręki wyrywa.

Henryk. Kto szarpie?

Lokaj. (tajemniczo) Ma się rozumieć - On!

Henryk. (niecierpliwie) Któż taki?

Lokaj. (oglądając się) Nieczysta siła!

Henryk. Brednie pleciesz!

Lokaj. (urazony) Niech ta sobie będą brednie - a ja co wiem, to
wiem. (konfidencyjnie) A Matka Boska to se jeno rękami liźko za-
krywa i odwraca się.

Henryk. (głos przytłumiony i złowrogi) Przyniesiesz z piwnicy
butelkę wina. Tego węgryna w omszonej butelce.

Lokaj. Zaraz, panie!

Henryk. Zapalić kandelabry na biurku. Nie zapomnisz też podać
parę kieliszków.

Lokaj. (potulnie) Dobrze panie (krząta się)

Henryk. (budząc się z zadumy) Która godzina.

Lokaj. Dziesiąta panie.

Henryk. (wzdrygając się) Już! - Słuchaj, za chwilę wpuścisz tu
pana Waclawa.

Lokaj. (trwożliwie) Ja nie pójdę. Boję się tam. Stróża lepiej
obudzę, ino że bestya spił się, i chrapie jak zarżnięty.

Henryk. Pana Waclawa. Więcej nikogo! rozumiesz,

Lokaj. (pokornie) Rozumiem panie.

Henryk. (chodzi - oczekiwanie ponure - ciężkie) Dla szczęścia
Anieli! (Przysłuchuje się odgłosom wiatru) Jakies swisty... lamen-
ty... Jakby o coś walczyło piekło... (nieledwie z obłędem) Czuje
wokoło zgrozę - zbrodnię - Zbliża się... zbliża...

(Słychać huk kopyt za bramą, tentent i turkot gwałtownie pę-
dzącego powozu, zmieszane głosy - później skrzyp zawiasów, zgrzyt klu-
cza we drzwiach i wolne miarowe stapania .)

S c e n a VI.

Henryk & Wacław.

Henryk. (krzyczy z przerażeniem) Kto tam wszedł? Kto to!

(Za sceną zdziwiony głos lokaja)

Lokaj. To ja wpuściłem pana Wacława, pani!

(Henryk podchodzi do kominka, we wzburzeniu ściskając głowę obu rękoma. Wchodzi Wacław.)

Wacław. (wesoło swobodnie) Dobry wieczór, bracie! Jakżeż się czujesz po tym dniu utrapienia? (rzuca kapelusz na stół) Ależ pogoda! Deszcz sieczący w alejach pluszcze, klapie, chodzi coś niby, - a gdy wszedłem w bramę, wiatr jakby zachychotał, zaskówyczał tryumfem i za mną za trzasnął drzwi. Brr! zimno mi! (Siada przy kominku i grzeje sobie ręce. Henryk stoi ponury.)

Wacław. Ktoby powiedział, że to już koniec kwietnia! No! dzielnie się urządził z tą uczoną gęsią! Aż szkoda jej, żeby sobie nie zrobiła czego złego.

Henryk. (usiłuje mówić swobodnie) Uspokój się, żyć będzie - złączona z kochankiem, szczęśliwa ... jeśli w ogóle ona może być kiedykolwiek szczęśliwa.

Wacław. (zdziwiony) Dlaczego przypuszczasz że nie może?

Henryk. Bo każdy ma w duszy atmosferę, którą w okół siebie roztacza. Jedni duchowej pogody - inni kłótni i nienawiści. Ona tchnie takim za-
trutem cuchnącem bagienkiem - i zawsze wydziałać będzie jego wyziewy.

Wacław. (śmiejąc się) Oryginalna teoria.

Henryk. Ja w duszy mam piekło!

(Chodzi w ponurem zamyśleniu i wreszcie stając przed Wacławem mówi głosem przytłumionym.)

Henryk. Więc stanowczo nie chcesz przechylić się do moich żądań: z jednej strony masa cierpień, tysiące zatraconych istnień ludzkich; - z drugiej: martwe pojęcie obowiązku.

Wacław. Boleję nad tem; ale nierzetelności nie popełnię

Henryk. Złym środkiem można zdobyć swobodę do stworzenia dobrego dzieła.

Wacław. Złem nie wytępisz zła ale je spotęgujesz. (z natchnieniem) Bracie! nie sprzeciwiajmy się złu! Nienawiścią go nie zwalczysz.

Henryk. (z zaciętością) Nie mogę go zwalczyć bez nienawiści.

Wacław. Jeśli nad nami istnieje władza, - musimy być jej posłuszni.

Henryk. Nie! musimy ją obalić!

Wacław. (grzebiąc w kominku) Widzisz - to jest czems tak podrzędnem, tak przejściowem, że nie pojmuję jak człowiek może w tym celu duszę utopić

Henryk. To byt realny.

Wacław. Jedynym bytem i jedyną prawdą, jest świat ducha.

(Milczenie)

Wacław. (patrzac w ogień, mówi jak w półsennem marzeniu) Widzisz, my nie dostrzegamy nawet prawdy życia. Powszednie fakty roztaczają się jak tafla wody, odbijając przelotne obłoki; a w głębi drzemie byt wiekuisty, prawdy zakłete, nietknięte, czasem tylko migocące światłem prze-czuć. (milczenie)

Ciebie porywają demokratyczne ideały - mnie, nieśmiertelne idee.

Henryk. Żyjac na ziemi, dlaczego od rzeczywistości uciekasz?

Wacław. (smutno) Bo znam tę rzeczywistość zbyt dobrze, aby nie pragnąć wzlotu nad nią.

Henryk. (szyderczo) W horyzonty nieskończoności! skąd zatracą się widok ziemskiej niedoli.

Wacław. Nie! skąd pojmuje ją głębiej i potężniej od was.

Henryk. Ty pojmujesz; - a ja chcę dzwignąć!

(milczenie)

Wacław. Myśl ulatującą w przestrzenie, z bezgraniczną żądzą nieskończoności, ty zamknąłbyś w ciasnej skorupie, ześrodkowawszy na ziemi

Henryk. Bohaterski czyn, to też żądzą nieśmiertelności. Męczenniki którzy ku niemu przez cmentarz szczęścia swojego dążą, też sama kategoria ludzi, która niegdys na stosach ofiarnych ulatywała w krainy wiekuistej chwały.

Wacław. Tamci nie dbali o nasycenie krwiożerczych apetytów doczesnych, ale nieukojoną tęsknotą, scigali wizję życia, rozspiewaną, jasną i czystą.

Henryk. Bussolą życia powinna być realna dążność, zamiar mogący być sprowadzonym na ziemię, - a nie tęczowa bańka zaświatowych rojeń.

Wacław. W rojeniach tych dla mnie treść istnienia, prawdziwsza i światlejsza niż w efemerydach zewnętrznych.

Henryk. (dziko) Więc idź w zaświaty! Ty - który do nich należysz Mnie zostaw ziemię!

Wacław. (podnosząc się) Do widzenia bracie! Aniela mię czeka. Niepokoila się dziś gdym wyjeżdżał i usiłowała zatrzymać. Dziwaczne te

kobiety ze swemi przeczuciami! No, żegnają!

Henryk. (głosem zmienionym) Napijmy się wprzód wina. (nalewa wino wzdrygając się) Czy słyszysz jak wiatr huczy?

Wacław. Słyszę to dyabły wyprawiają swe harce. Lud ukraiński taką noc "gróbową" nazywa.

(Idzie do okna i patrzy odwrócony, Henryk z pośpiechem sypie coś do jego kieliszka)

Wacław. Deszcz pluska i chlupie - a wicher gwizdze jakby się zalewał szyderskim chychotem.

(Pije wino, Henryk chodzi w zamyśleniu po pokoju, wreszcie stojąc przed Wacławem, rzewnie.)

Henryk. Bracie! a pamiętasz ty nasze igraszki dziecinne? Ową wysoką górę stromą, na którąśmy się drapali o mała karku nie skrećiwszy.

Wacław. Pamiętam! Ty zawsze byłeś na przedzie, i pięścią waliłeś gdyś nadażyć nie mógł, Wracałeś obładowany jak wielbłąd kamykami, muszlami i owadami.

Henryk. A ciebie ze szczytów sciągnąć nie można było! choć powracałeś z pustemi rękoma. (po chwili) - A pamiętasz jak raz o małość nie utonął kapiąc się w jeziorze?

Wacław. Nie bałem się niebezpieczeństw, bo wiedziałem że mię ręka mego dzielnego "juniora" zewsząd wyratuje, (Podnosząc kieliszek do ust) Za twoje zdrowie! -; (pije)

Henryk. (bezdźwięcznym głosem) Nie pij tego wina bracie.

Wacław. Dlaczego?

Henryk. Ono zatrute.

Wacław. (podnosząc się, wyraz trwogi, zmięszania) Co! co to jest Zartujesz?

Henryk. (chrypliwie) Dla szczęścia Anielil! tak trzeba. Ona umiera z miłości dla mnie.

Wacław. (oczy świecące, drży jak obudzony) Co! jak? ty kłamiesz szatanie!

Henryk. (złowrogo) Mówię prawdę, przysięgam! na moją miłość dla niej.

Wacław. (słaniając się zdruzgotany) Ha - tak! ten jej smutek cią-

gły... albo wówczas, gdy po raz pierwszy... Aa! co za blask strasliwy! oświecił tę przepaść... (siada zakrywając twarz rękoma) tak... tak! prawda! Łknie wydobyla mu się z piersi. Podnosząc czoło gestem męczennika, rzewnie,) Po coś mnie zamordował bracie!

Henryk. (dziko) Tyś mnie nie pytał! Wzięłaś ją - tę moją kobietę należącą do mnie prawem natury, gdy dusza moja skowyczała z bólu - i przykułaś do siebie ślubnym pierścieniem. Teraz odbieram ci ją! i mam na to prawo, bo serce jej zawsze było moją własnością.

Wacław. (patrzy nań długo, z walką uczuć i męką w twarzy, - poczem wypija do dna resztę zatrutego wina, chwiejąc się i czepiając sprzętów idzie do biurka, bierze papier i pisze z wysiłkiem, wymawiając głośno:)

Umieram jak samobójca. (chwyta się z jękiem za pierś) Pali mnie och - jak pali! (ociera czoło z potu opanowując się z wysiłkiem) Och! Bracie! a jam cię tak kochał!

Henryk. (bezdźwięcznym głosem) Ja także kochałem cię.

Wacław. (szarpiąc się w kurczach) Pali!... pali!... (z wściekłością) Zbrodniarzu! (pada na ziemię)

Henryk. (oszałały) Kona! kona! Bracie! odezwij się! jeszcze jedno - jedno słowo! Och! maro sztywna, nie patrz tak strasznie zgasłymi oczyma... przemów!

Wacław. (podnosząc się na łokciu, szeptem uroczystym, urywanym) Bracie - żałuję cię! wieleś mąk sobie zgotował. Prze - ba - czam.

Henryk. (z krzykiem) Nie! - nie! wróć to okropne słowo! lepiej przekleństwo rzuć! (rzuca się na kolana) Boże! życia i śmierci! Męczarni moich Stwórcu! wszak możesz w życie przemienić śmierć! weź moje życie za tochnienie tego sprawiedliwego. Wielka Duszo Świata! ożyw ten twój najczystszy promień... (Szarpie trupa) Och Wacławie! nie umiałem cię cenić... Bracie! obudź się! Bracie! weź mnie z sobą! (wznosi załamane ręce) Ty! światło objawienie myśli Boskiej, Odkupicielu mój! zeslij mi zapomnienie śmierci - Ukarz! Zabij!

Wacław. (otwiera zgasłe oczy, przejmującym głosem, uroczysto, wolno) Życie cię czeka wie - czne.

Henryk. (pada z krzykiem) Och! to kara zbyt sroga!

(tryumfujący skowyt wiatru szarpiącego okiennicą)

Zasłona spada.

Pole falujące płowymi kłosami, gdzieniegdzie iskrzą się maki i habry. Na miedzy polna grusza złoci się w słońcu, pod nią wielki kamień, na którym siedzą Henryk i Aniela. Na lewo wznosi się kurhan porośły krwawnikiem i macierzanką, z krzyżem szeroko rozpościerającym ramiona.

S c e n a I.

Aniela - Henryk.

Aniela (w białej sukni, wygląd dziewczycy, splata wieniec) Jak prędko mija czas. Już spływa rok, od owej strasznej chwili lęku, gdy Wacław nagle umarł i dziadunio padł na tę wieść tknięty paraliżem. Grób jego już porósł kwiatami, wspomnienia spokojem. W rocznicę śmierci Wacława ty chcesz hołdami wdzięczności podwładnych uczcić pamięć brata, - ja mogę tylko wieniec ustroić jego grób.

Henryk. Czynisz to codzień.

Aniela. Lubię, to miejsce cichego spoczynku, które on sam podobno ci wskazał. Taki tu przestwór rozległy - bezgraniczny - cichy. Zdaje mi się, że ~~duch~~ jego unosi się w tych obszarach, płynie w woni ziół, rozlega się z pieśnią, skowronka; że mu tu lepiej niż w więzach życia.

Henryk. (chmurno) Tu - lepiej!

Aniela. Patrz! jak te chmurki na niebioskłonie różowią się i złocą!... słyszysz? jak wiatr w kłosach chrzęści i szumi... A w duszy tak lekko! taka słodka, rzewna tęsknota... O! ja nie przypuszczałam nigdy, że można tak bardzo, tak bezgranicznie być szczęśliwą...

Henryk. (przyciągając ją do siebie) Jeszcze kilka miesięcy - i moją będziesz na wieki - słońce ty moje! słońce jasne!

Aniela. (z prostotą) Jam zawsze twoją była - Henryku. Mnie się zda wało że nas wiąże siła przeznaczenia, wyższa od nas i przed nami będąca. Nawet... oddając się twemu bratu, czułam iż popełniam zbrodnię przeciw naturze.

Henryk. Ty będziesz towarzyszką prac moich, walk moich. Byłem tak przybity do ziemi troskami, zdętwiały cierpieniem, odarty ze skrzydeł. Rozprostować się mogę tylko przy tobie. Z tobą - jam nieprzewyciężenie silny. (zsuwa brwi, jakby go coś zabolalo, po chwili) Ty mnie podniesiesz, i od katuszy złych myśli zasłonisz. (Zdejmuje kapelusz - pauza

kontemplacji) Go za cisza w przyrodzie i spokój!

Aniela. Jak w naszym sercu!

(Henryk milknie, jakby nagle ugodzony)

Aniela. Wszystko wokoło drży iskrami, promienieje - śpiewa o naszej miłości! a w duszy takie słodkie, takie bezprzytomne prawie upojenie. Nas tu błogosławi duch Wacława.

(Henryk się wzdryga)

Aniela. Tyle zadań widzę przed sobą... tyle dążeń otwiera się przedemną, w których mogę być ci pomocną - szczęśliwa tem, że ci pomagam... a nie mam teraz żadnych sił - energii. To potok szczęścia tak mię porywa... żywiołowe siły mną owładnęły, kołyszą sennym czarem... Myśl spi...

(Przymyka oczy) Chciałabym tylko słuchać... słuchać bez końca... o naszej miłości! Więc tak dawno kochałeś mię?

Henryk. Od dziecka. Każdy raz spotykając cię, czułem jakąś świeżość i lekkość powietrza, jakiś powiew radości rzeźwej i słodkiej, jakby woń wiosennych kwiatów - a oddalałem się, unosząc serce pełne twego głosu, twoich słów.

Aniela. (z przymkniętymi oczyma) Mów mi! mów jeszcze!.. mów ciągle...

Henryk. A później... po owej katastrofie pomyłek, - gdym stracił cię - i tylko ból pozostał szarpiący, dziki, dławiący w kleszczowych uściskach, - gdym był już zgnębiony bardzo na tortur rozciągnięty, bez sił i oporu - tyś zlatywała do mnie w jasności i ciszy - brałaś zboląłą głowę w ręce - czułem twój wzrok kochający na sobie... słyszałem pieściwe litośne nad moją męką wyrazy... tuliłaś mię w objęciu i boleś moja ta - jała - było mi lżej!

Aniela. (w zamysleniu) Dziwne! dziwne! mnie też nieraz zdawało się że w osamotnieniu i ciszy, dusze nasze z sobą rozmawiały...

Henryk. Nigdy cię tak nie kochał, jak wówczas oddaloną - i nigdy nie czułem tak, żeś niepodzielnie moja. (Z natężeniem myśli) Tyś piękna, słodka - ale ten promień był jakiś piękniejszy, wyższy, lepszy od ciebie: jakby był najbardziej subtelną światłością, twej duszy, - snem Boga o tobie - myślą twórczą.

Aniela. Ja też często czułam cię przy sobie. Ciążyłaś nademną jak zaklęcie, jak urok. Bałam się oczu podnieść byś się nie rozwiąła.

Henryk. A później rozwijałaś jak gołąb skrzydła śnieżne, ulatując bez szumu: - w duszy mi tylko pozostawał jakiś czar poezji, urok męczeństwa. (Siedzą w milczeniu trzymając się za ręce, ramiona krzyża wciąż dłuższy - rzucają cień, który ich dosięga)

Aniela. (z łagodnym wyrzutem) Teraz za to, często myślami uciekasz odemnie, przebywasz w jakichś tajemniczych dziedzinach...

(Henryk chmurnieje, milknie.)

Aniela. Co za słodka melancholia i cisza wokoło...

Henryk. Tam z zachodu nadciąga chmura. (Przez dolinę nadciąga cień ponury przesuwającej się chmury)

Aniela. (podnosząc czoło od ramienia Henryka) To dziwne! czasem w sercu tak pogodnie i jasno, i wtem inna gra światła - zmiana nastroju - i radość nagle ustaje - niknie: jakby nadciągała burza

Henryk. (posepnie spoglądając w niebo) Jakby nadciągała burza.

Aniela. (przesuwając mu ręką po czole) Rozpogódź się drogi; teraz ja ci opowiem pierwsze dawno minione, chwile, z czasów gdy nawet nie rozumiała jeszcze że cię Kocham. (tuli się do niego, Henryk siedzi ponury i zamyślony) To było głębsze niż myśl niż świadomość... wyłaniało się z jakichś otchłannych głębin. Rozum nie przyjmował w tem żadnego udziału... Zdawało mi się, że cały świat był tobą przeniknięty... tyś mi wypełniał świat cały... Twoje słowa słyszałam w szepcie liści, fale drżały biciem twego serca, płynęły twoim tętnem: w musnięciu wiatru czułam twój oddech. Nad zachodem niebios spłonione i krwawe, płomienisty odblaskiem twych uczuć, - i księżyc ponury sciskał mi serce echem twego smutku. (śmiejąc się) Byłeś to nie ty, ale jakby twój ekstrakt duchowy, bez domieszki zwykłej powszedności. (figlarnie) Widząc cię później w żywej osobie, każdy raz doznawałam rozczarowania. Twoje odbicie duchowe było silniejszym od ciebie: przy tobie tęskniłam za nim.

Henryk. Miałem, widzę, niebezpiecznego rywala.

Aniela. (śmiejąc się) Niepokonanego! I tylko niekiedy, jakiś polysk oczu, zbłąkany wyraz, wibracja głosu, stwierdzały żeś ten sam.

Henryk. (chmurno) To przez pryzmat odległości, chwile ubiegłe oblekają się takim czarem poezji. A wówczas w obec mnie, myślałaś pewno często żeś dziki, niezgrabny, że nie umiem tańczyć.

Aniela. (figlarnie) Czasami! to tak, jakby twój powszednie "ja"

przysłaniało tamto, prawdziwe, odwieczne.

Henryk. Czy zawsze czułaś taki rozdźwięk... pomiędzy mną, żywym... a swoim rojeniem.

Aniela. Postacie zlały się niby w jeden ton... chociaż zawsze odczuwałam, że nie dosięgasz tego, czem być byś powinien... i czem może w gruncie rzeczy jesteś...

(Mrok coraz się zwiększając ramiona krzyża cieniem ich ogarniają)

Henryk. Mówisz wciąż tylko o moim sobowtórze... czy ja sam bezpośrednio żadnych wrażeń nie budziłem?

Aniela. O! i wiele! nieraz bywało, nie myślę o niczem, tak jakos po głowie kręcą się drobiazgowy sprawy, - wchodzę do pokoju - i nagle uderza mnie fala szczęścia... (opiera mu głowę na ramieniu) Tyś tam był!

(Henryk milczy zaszepiony, z oczami wbitemi w ziemię.)

Aniela. Ale czemuś tak ponury i smutny dzisiaj, w dniu gdy całe szeregi obdarowanych przez ciebie dążą z podzięką i wdzięcznością, a tyś przez pamięć braterskich uczuć, na miejsce zebfania wybrał grób Wacława?

Henryk. (ochrypłym głosem) Grób męczennika.

Aniela. Opłakaliśmy go już i módlimy się za jego spokój. Jakże długo nie możesz ochłonąć z ciosu, którym cię ugodziła ta śmierć niespodziana!

Henryk. (złowrogo) Tak... śmierć niespodziana... (urywa i zwiesza ponuro głowę. Ciemnieje coraz, słychać oddalone łaskoty grzmotu.)

Aniela. On sam dla siebie wybrał ciszę wieczną, - i jak duch czysty patrzy teraz na nas.

Henryk. (z dreszczem przerażenia) Patrzy! (z obłędem zgrozy) Tak! ja sam go widzę! czuję! 2 jest tu, wśród nas, pomiędzy naszymi głowami - patrzy - straszonymi oczyma 2 nakazuje 2 czeka! Słuchaj Aniela! lepsze tortury poniżenia i hańby - one ulżą mi. Słuchaj!... w szale namiętności... ja otrujęm Wacława.

(Aniela patrzy nań nie pojmując, szeroko otwartymi zgrozą oczyma)

Henryk. (głosem ochrypłym) Odtąd widzę go ciągle... bez wytochnienia... w każdym słowie do mnie zwróconem, nawet w okrzykach tryumfalnych tłumu, słyszę zgrzyt ostry, okrzyk dziki: „Bratobójca!”

Aniela. (budząc się z osłupienia - z krzykiem) Nie zabijaj!

przestań... litości!

Henryk. (bezładnie) Dla swobody dążeń... dla dobra społeczeństwa dla... dla... twojego szczęścia! zgładziłem go!

Aniela. Ty? ty? ty! (osuwa się jak martwa na kamień)

Henryk. (stojąc obok niej) Czara życia mojego musiała wypełnić się nektarem sławy... choćby na spodzie była trucizna! Nicosć życia... niedza życia! pustynia tam... za grobem... domagały się tego. Sławę zdobywszy, zatracam upokorzenie; zem tylko twórz znikomy, ja - Herkules - Tytan! Pragnąłem wiekuistej chwały! niesmiertelności!

Aniela. (rozdzierającym szeptem) Chwały pragnąłeś?!

Henryk. (z dumą mocarza) W gwarze podziwu tłumów huczących jak morze - ja chciałem rozerwać skorupę człowieczeństwa!

Aniela. (podnosi się patrząc błędnymi oczyma - później błagalnie, jak dziecko) Dlaczegoś mi taką krzywdę wyrządził? mogliśmy wieczność całą być z sobą razem -

Henryk. Teraz będziemy z sobą do zgonu (chwytając jej rękę)

Aniela. (odtrąca go) Odejdź! - tyś nie mój - (jakby we śnie) pomyliłam się... Ach! jakże strasznie się pomyliłam.

Henryk. (dziko) Odpychasz mię?

Aniela. Tyś był snem mojego życia... Teraz sen rozwiął się wiazące ułudę

Henryk. (gwałtownie) Co ty mówisz? co?

Aniela. Tyś nie ten kogom kochała. W sercu mam tylko ranę piekącą... wacławowi zatruciłeś ciało... mnie duszę!

Henryk. (oszałały) Nie puszcze cię! tyś moja... ty musisz do mnie należeć!

Aniela. Odejdę na zawsze! - przemocą nie zatrzymasz mię... (idzie)

Henryk. (rzucając się za nią oszałały) Jakte? więc nigdy? nigdy! cię więcej mam nie ujrzeć? więc nie przebacysz mi?

Aniela. (wstrząsa łagodnie głową, poważnie uroczyście) Winę twą na własną głowę złożę. Pokutować będę życie całe - Przebaczyć nie mogę!

Henryk. (czepiając się jej stóp) Cóż począć mam teraz, bez ciebie! co?

Aniela. (odwracając się) Zagładź swą winę dobrowolnym wyznaniem

(Henryk drży i przysłania ręką oczy - Aniela znika.)

S c e n a II.

Henryk.

Henryk. (szarpiąc pierś z wściekłością) Ha! trzeba teraz hańbą ból znieczulić... Niech mnie złość ludzka szarpie! niech poniżona pycha depce, niech zazdrość wpija żądła, głupota kopytami w twarz bije... Rozumie mój, nie wytrzymasz tego szturmu!

(uderza się w czoło, jakby rażony myślą piorunującą, potem głosem przygasłym, z głęboką męką.)

To silne pokolenie co miało wyjść z mej piersi, w które z krwią razem wlać chciałem dzielność, dążenia, pochopność czynu - pozostać nie stworzone. I to jest moja najśniejsza kara... (Przypada dół krzyża, obejmując go rękoma, w obłąkaniu) Wacławie! ty tego żadasz? przestaniesz patrzeć na mnie szklannymi oczyma? (na drodze widać dążącą przez pole deputacyą, oddalone łoskoty grzmotu.)

Henryk. (dziko) Ha! idzie tu... idzie! pogrzebowy kondukt moich snów o potędze!

S c e n a III.

Henryk - Deputacya - Lektor - Tłumy robotników.

(Tłumy zbliżają się, powiewają wieńcami. Słychać okrzyki "Niech żyje" "niech żyje!")

Henryk. (ze wzrastającym obłędem) Jakoż tedy wypełni się pismo, że tak się musi stać...

(Jeden z grona przybyłych czyta z przejęciem, uroczyście, jakając się)

Lektor. Panie! w dniu tak uroczystym dla nas wszystkich tu zebranych pozwól złożyć nam hołd należny uznania i podzięk.

(Henryk stojąc na kurhanie, daje znaki ręką, że chce mówić, - tamten nie zważając czyta dalej powoli, donośnie i nudno.)

Lektor. Wpływ twej niedługoletniej, a jednak tak doniosłej w skutkach swych działalności społecznej, którą tysiącem strumieni odżywczych nowe siły, nowe życie wniesła...

(Ryk wśród tłumu: - tak! tak!

Lektor. (jakając się czyta) Nowe życie wniesła, w najbardziej

anemiczne arterye...

Jeden ze słuchaczy. (trącając w bok innego) Co on mówi takiego?

Drugi. Nie przeszkadzaj! panowie zwykle tak mądrze się wyrażają.

Lektor. (spoglądając na nich groźnie) No - owe ży-y-cie w anemicz-
ne arterye; wpływ ten, powtarzam, zbyt dobrze jest znanym...

(Ryk w tłumie. My wiemy! my wszyscy wiemy!

Lektor. Zbyt dobrze jest zna-a-nym, ażeby miał znaczenie jego okre-
slić...

Głos w tłumie. Ot tak lepiej: Niechaj Pan Jezus Chrystus błogo-
sławi i jego Matka Przenajświętsza!

Lektor. Panie! przyjmij że od nas wyrazy czci głębokiej - niech
kraj ten potężnego ducha twego siłą się podnosi, niech znedzy i ciemnoty,

Henryk. (miotając się daje znak że chce przemówić.) Wy wszyscy
słuchajcie mię.

Lektor. (wydaje rozpaczliwe gesty, świadczące iż musi swej mowy
dokończyć) Niech blask twego geniuszu i nadal świe-eci...

Henryk. (głosem grzmiącym) Słuchajcie mię!

(łoskoty grzmotów i oślepiające błyski.)

Wszyscy. Niech żyje! niech żyje!

Henryk. (stojąc na kurhanie, rzuca w ciżbę) Jestem zabójcą!!

Huk piorunu.

Zasłona spada.

O D S Ę O N A VI.

Ciasny dziedziniec przy domu obłąkanych. Na lewo ponury gmach z okratowanymi oknami, wprost mur wysoki, głuchy; na prawo brama opatrzona żelazną kratą. W dziedzińcu kilka suchotniczych drzewek, ławeczka.

S c e n a I.

Odzwierny - Luborzecki - Luborzecka.

Przez bramę wchodzi Luborzecki, Luborzecka.

Odzwierny. (zakręcając klucz w zamku) Niech państwo tu zaczekają chwilkę. Zaraz wyjdzie doktor.

Luborzecki. Dziękuję ci mój przyjacielu. (do żony) Oprzyj że się na mnie, uspokój!

Luborzecka. (drżąc) Staram się być spokojną... ale gdy pomyślę (rozpaczliwie) że tu zamknięte moje dziecię! nasz Henryk!

Luborzecki. Ciężki! ciężki nasz koniec. Matko! Jeden syn w grobie, drugi - obłąkany!

Luborzecka. Gorzej niżeli umarli. Nie umieliśmy ich ustrzedz!

Luborzecki. A czyśmy to ich nie kochali? nie chowali troskliwie? nie chcieli ich dobra? Czy dla zabezpieczenia im przyszłości nie wyrzekaliśmy się własnych wygod, przyjemności? Lata całe pracowaliśmy dla nich, a ot! tylko odrośli, poszli każde w swoją stronę, własnym rozumem się rządząc; poszli na stracenie. A ty stary, zabiegaj koło nich jak ta kwoka, co to kaczęta wysiedziała, kiedy mądre, na wodę się puszcza! Eech! - (targa wosa)

Luborzecka. Za co nas Bóg tak ciężko skarał! czemu lepiej na mnie jedną krzyżę nie włożył?

Luborzecki. Boże! Boże! za co karzesz dzieci moje? Jeśli w czem przewinił, - ukarż mnie - nie ich!

Luborzecka. (płacząc) Za ich winy - mnie ukarż Boże! Och dzieci moje! Najdroższe dzieci! (łka cicho)

Luborzecki. Przestań Andziu! cicho! Idą tu.

(Wchodzi profesor z asystującymi studentami.)

S c e n a II.

Luborzecki - Luborzecka - Profesor - studenci.

Profesor. (zwrócony ku słuchaczom, kończy wykład) Tak, panowie, dominująca żądza człowieka, jest chęć wiekuistego bytowania. Żądza ta, w początkach cywilizacji stwarza religję; w dobie panowania rozumu obezwładniającego polot fantazyi, ześrodkowuje się na ziemi. Wówczas idea walki o byt doczesny, łącząc się na szczytach z żądzą nieśmiertelności, przejawia się w nieprzepartem dążeniu do sławy. Ma ona swych wielkich męczenników, którzy pod wpływem jej mogą zostać nawet zbrodniarzami. Ale najlepiej Panom może to objaśni, biedny, obłąkany idei tej przedstawiciel.

1-szy student. Słyszałem że niekiedy w przeciągu kilku dni odmawia dotknięcia pożywienia.

2-gi student. W chwilach podniecenia, *wymaganie Hyobtedu* furi, ma doń dostęp jedna tylko szarytka. Mówił mi dozorca, że ona jedna umie go uspokoić.

3-ci student. Krewna, może?

2-gi student. Podobno wychowali się razem. Z jej ręki tylko przyjmuje pokarm, ale jej nie poznaje.

S c e n a III.

Ci - Rostowscy - Eulalia - Goguś.

Rostowska. (obwieszona biżuterją, mocno ściśnięta w sukni uwyplakującej kształty, sapiąc ciężko) Co za niewygodna droga! jakie nędzne na stacyi powozy! (lornetując dziedziniec) - a ta obskurna ławeczka? Za granicą nic podobnego spotkzć nie można! oddawna!

Rostowski. (spoglądając na zegarek, ton urzędowy, suchy) Gdyby prędzej załatwić te formalności, bo się spóźnimy na odwrotny pociąg.

Eulalia. (bogato wystrojona, mówi ostro z naigrawaniem) On chyba naumyślnie zwarzował, aby utrudnić rozwód! Zawsze lubił robić mi na przekór...

Goguś. (nieśmiało) My chyba tego rozwodu wcale nie dostaniemy...

Eulalia. (spoglądając nań wściekle) Co? coś pan powiedział?

Goguś. (ledwo dosłyszalnym głosem) Ja tylko tak sobie trochę pożartowałem.

Luborzecki. (do żony, z wybuchem) Ota ta, co wniosła nieszczęście do naszego domu.

Luborzecka. Bóg nas chciał dotknąć, Bolesławie. Nie ponizajmy naszych cierpień nienawiścią.

Luborzecki. Nie mogę oprzeć się myśli, że gdyby nie ten przeklęty związek ...

Luborzecka. Człowiek jest tylko narzędziem męki. Wyroki niezbadane wyżej.

S c e n a IV.

Ci - Henryk.

1-szy student. Ale oto i on.

(Na scieżce ukazuje się Henryk. Luborzecka chce się doń rzucić wstrzymuje się, i wpatruje się weń z chustką przycisniętą do ust, tłumiąc łkanie)

2-gi student. Patrz! jakies wielkie zachwycenie oczy mu dziwnym blaskiem rozjaśnia.

3-ci student. Wygląda jak modlący się szaman.

1-szy student. Albo natchniony, którego mądrości nasze tępe mózgi nie rozumieją.

3-ci student. Pst! słuchajmy - zaczyna mówić!

Henryk. Ten jeszcze punkt przestrzeni ciemnej nie rozświetliło słońce mej myśli ... potoku jasności promiennej, wytrysnij z piersi mej rozdartej i krwawej. Z nieskończoności zrodeł płyn potoku, w niezgłębione bezbrzeżne morze wieczności.

Rostowska. Słyszycie? on zawsze przemawia tak górnie. Myślałam, że choć zwarjowawszy zacznie gadać zrozumialej.

S c e n a V.

Ci - Aniela.

Aniela w odzieży szarytki, staje niepostrzeżenie w głębi, nie spuszczaając z oczu Henryka.)

Eulalia. (do Gogusia) Po co pan patrzysz w tamtą stronę? wiesz przecież jakie masz słabe nerwy.

Goguś. Ależ Lalciu... to jest, chciałem powiedzieć Pani! ja.. faktycznie...

Eulalia. (z despotyzmem) Patrz pan w inną stronę!

Henryk. Onego czasu na zegarze dziejów wybiła godzina odkupienia niedoli ziemskiej. Człowiek co był mi bratem, powinien być zostać ofiarą - ooo! (Z głębokim nateżeniem myśli) Tom nie ja zdziałął, te te spalone męką wnętrzości moje...

Profesor. (na stronie objaśniając cicho i żywo studentom) Opętanie ideą, jest - to rodzaj działalności mózgowej, w której myśl narzuca się mózgowi wbrew woli, przemocą, przechodzi w nader przykry, patologiczny stan wewnętrzny, stając się niepokonaną.

1-szy student. Czyli, że dotknięty nią osobnik przestaje być odpowiedzialnym za swe postęпки?

Profesor. Prawie. Chorobliwa pobudliwość daje impuls czynnościom automatycznym. Jest - to psychiczna niewola.

Henryk. Co stało się? - nie wiem. On leżał sztywny, bez życia - ze szklanymi oczyma... A wszechświat trząsał się gromami, łkał bólem! (z ogromną siłą łamie kratę, wyciąga pret i chowa go w zanadrze)

Aniela. (słodko) Henryku! skaleczy się możesz. Oddaj mi ten gwóźdź.

Henryk. Gwóźdź? on już oddawna w moje serce wbity... i w mój rozum... Odstap!

(Zamierza się na Anielę, która patrząc mu w oczy przenikliwie, przeciągle, łagodnie, - odbiera broń)

Luborzecka. (głosem nabrzmiąłym od łez) Dziecię moje biedne! Henryku! - czy poznajesz nas?

(Aniela podbiega do Luborzeckich, wita się z nimi poczem ujmuje Henryka za rękę, prowadząc do rodziców)

Aniela. Oto Ojciec twój? czy poznajesz go? oto matka twoja.

Eulalia. (do matki) Mnie pominęła! choć zdaje się, mam tu prawa największe!

Rostowska. (sapiąc) Ach! obejdziemy się bez przedstawiania.

Henryk. (błędnie spoglądając) Otom już oddawna z pęt człowieczeństwa, torturami mąk nieludzkich wyswobodzon!

Luborzecka. (głosem rozziewającym) Henryku! dziecicę moje!
spójrz na mnie! Widzisz, tom ja, matka twoja, kocham cię zawsze. Pa-
miętasz, gdys był maleńki, jakieś mi rączkami szyję owijał, jak się tuliłeś
do mnie, jak zawsze przybiegałeś szukać pomocy w strapieniu?

Luborzecki. Oj życie! życie! ciężkie ty!

Luborzecka. Pamiętasz dom, gdzieś spędził dziecinne lata? Wszystko
tam ciebie czeka, abys powrócił tylko. Przebudź się ty! otrząśnij!
wyrwij z tego snu!

Henryk. Jestem Aryman, ciemności Bóg.

Eulalia. (do Rostowskiej z urągowskiem) Dziwiłam się zawsze, co
w tej Anieli ludzie odnajdywali! Niech mama spojrzy tylko, jak ona wy-
gląda! Żadnej elegancyi! szyku! Przytem taka nienaturalna! Chce się
jej gwałtem odegrywać rolę świętej.

Goguś. (oburzony) Pozwalam sobie mniemać, że ja sąd ludzki nie ob-
chodzi, i że żadnej roli ...

Eulalia. (z furją) Wiem - wiem! Ciebie każda nowa twarzyczka nęci
Nawet do tej ... z domu warjatów ... jeszcześ gotów strzelać oczyma!

Goguś. (zgnębiony) Ależ Lalciu (poprawiając się z przerażeniem)
Pani! ja nie miałem zamiaru ... absolutnie ... (gasnącym głosem) wierze-
mi!...

Eulalia. (odprowadzając go na przód sceny) Myślisz, że teraz powró-
cisz do kawalerskiej swobody? cha-cha! że ci pozwolę bujać z kwiatka na
kwiatek, bezkarnie? że może może zgodzę się byś mię mieniał? (wsciekłe)
Nic z tego! klamka zapadła ... Teraz cię mam!

Goguś. (skruszony i żałujący) Ja .. Ja .. już teraz ... rozumiem
wszystko. Zmiłuj się! (całuje pokornie jej rękę i zdejmuje z niej okry-
cie które mu ona podaje ze spojrzeniem zirytowanem a palcem się żądzą -
i wracają do Rostowskich)

Henryk. (zwracając się do profesora i studentów) I czegoż wy z ta-
kiem zdziwieniem na mnie patrzycie. Czyż wam nieznany jest ból, ból kła-
mi krwawemi łkający? Czyż wam nieznany jest ból, co wije się u stóp ty-
rana życia, modląc się o litość, by go oddał śmierci. Czyż wam nieznany
ślepy, obłąkany ból wszechistnienia, który natura głuszy walką zaciekle,
miłością, sławą, - aby znieczulić ludzkość - i jego skarpiący, rozpaczny
krzyk przytłumić. (wznosząc obie ręce ku niebu) O bólu! bólu! ty

nędzy, poniżenia twórcy! O bólu! bólu! ty

chwały nieśmiertelnej twórcy! Za twą przyczyną, człowiek nędzniejszym od zwierzęcia się staje. Przez twą potęgę, w nieśmiertelnej chwały wkracza królestwo.

Luborzecka. (z załamaniem rękoma) Dość się już nacierpiałeś wzbijając się na wyżyny. Zstąp lepiej na ziemię. Spojrz na tę gołąbkę, co cię nie opuszcza w nieszczęściu, czuwając nad tobą jak anioł opiekuńczy. Czy poznajesz ją? Aniele którąś tak kochał?

Henryk. (w głębokim zamyśleniu chwiejąc głową) Ja tylko chwałę kochałem i ludzkość: jak słońce i światy krążące dokoła, czerpiące zeń światło i życie. (do Anieli, surowo) Kobieto! i cóż jest wspólnego między mną a tobą?

Aniela. Ból odkupienia - i miłość moja do ciebie, Henryku.

Henryk. O to już święty, powolną ognia ~~męka~~ oczyszczony (zamyśla się, jakby usiłując wydobyć z głębin, myśl jakąś) Zgładziłem... nietylko siebie... ale i całe szeregi, ~~tylko mieli~~ istność ma rozwijać i doskonalić. Nietylko roślina zdeptana, lecz i jej ziarno zostało zgładzone. Jestem zniszczonym doszczętnie. (siada na kamieniu, zakrywając twarz dłońmi, Luborzeccy i Aniela go otaczają)

Rostowska. (lornetując grupę) Już jak tam państwo sobie chcecie, ale to jest nienaturalne takie postępowanie tej Anieli! To jest po prostu afiszowanie się i chęć zrobienia efektu.

Rostowski. (poważnie i z dostojeństwem) Różne tam były pogłoski o wyznaniach Henryka przed ostatecznym obłąkaniem. (dyskretnie) Kto wie, czy to z jej strony nie dobrowolna ~~ekspiacja~~ winy (chowa brodę w kołnierzu)

Rostowska. (tknięta nagłą myślą) A pewno! to ona właśnie otruła Wacława!

Rostowski. (z grymasem oglądając się) Tylko nie tak głośno... nie mamy namacalnych dowodów.

Rostowska. (z zaciętością) Już ja potrafię jej cicho dogodzić!..

Luborzecka. (starając się odjąć ręce Henryka od twarzy, tkliwie, namiętnie z zaciętością rozpaczy) Uczyni tylko mały, mały nad sobą wysiłek Henrysiu! Spójrz! to ojciec, jego siwe włosy, - oczy - niegdyś surowe, dzisiaj patrz, z jaką miłością i żalem na ciebie spoglądają... A ja... dawniej tak lubiłeś mój uśmiech! Patrz, jak się uśmiecham... dziecko

moje! ja śmieję się... Więc nie? A oto Aniela. Ty przecież kochałeś ją od dzieciństwa. Mógłbyś być jeszcze szczęśliwym...

Henryk. (przypominając coś z głębokim nateżeniem myśli) Kochałeś niegdyś jedną... promień świetlany... ale ją zatracił (trac czoło z wysiłkiem myśli) a ona mię nie przejrzała... tu się już nie spotkamy!

Aniela. (z przejmującą słodyczą, łzy toczą się po jej twarzy) Otośmy się już odnaleźli, Henryku.

Henryk. (błędnie i smutno, nie poznając jej) Duch mój rozerwał już skorupę człowieczeństwa... Może tam, w zaświatach, po za tumanem złotych gwiazd, gdzieś w innym życiu... spotkamy się!

Rostowska. (oburzona odwracając się) Tak otwarcie przed całym światem! co za bezwstyd! przy ślubnej żonie... Bo przecież oficjalnego rozwodu dotąd nie ma...

Eulalia (ostro z wybuchem tryumfującej złości) Mówiłam zawsze! Ten człowiek musiał zwaryować.

Rostowski. (z dostojną pogardą) Che che! chi chi! w jego genialności brakowało zawsze jednej klepki.

Luborzecka. (odstępując znekana) Żadnej nadziei!

Luborzecki. Córko! chodź z nami.

Aniela. Ja przy nim pozostanę.

Zasłona spada.



Львівська бібліотека
АН УРСР

ВІДДІЛ РУКОПИСІВ

Дав. 1186

Львівська бібліотека
АН УРСР
ВІДДІЛ РУКОПИСІВ
Дав. 1186
111473
30711
16156
Дав.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.

Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.

All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.